Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 1 listopada 1936 r. Nr. 44



W dzień Wszystkich Świętych zmarłe dusze
Z zaświatów spłyną w białej mgle....
Odgadną ludzkich serc katusze,
Odczują każdą gorzką łzę.

Z zaświatów spłyną w wir Gehenny,
Co się istnieniem ludzkiem zwie:
Tęsknotą jęknie wiatr jesienny,
Kościołów wrota przymkną się.

— — — — — —

A wtedy czekać będę nocą,
Gdzie się rozeszły drogi dwie,
To może światła zamigocą
Na ciemno — szarem nieba tle.

Bo z wiarą dziecka znów legendę,
O mar pochodzie prześnić chcę.

— — — — — —

Zmarłym się duszom skarżyć będę,
Mych ukochanych, jak mi źle.

M. Mszczycka.

WOJCIECH HOLM

5)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Obojętnie przyjął jej dobroć, a śmierć jego dobrodziejki, która wkrótce potem umarła, nie obudziła w nim najmniejszego żalu.

Głęboką troską napełniła go śmierć jego matki, ale i ta boleść nie złagodziła jego charakteru, raczej uczyniła jeszcze bardziej zamkniętym w sobie, a jego nienawiść do ludzi, zwiększyła się jeszcze.

Najbardziej nienawidził ulubieńców losu, ludzi szczęśliwych.

Najszczęśliwszym człowiekiem był w jego oczach hrabia Werner — i dlatego nienawidził go też najwięcej — i z tego powodu napełniła go jakąś djabelską radością zmiana, która miała smutnie zakończyć szczęście hrabiego Wernera.

I ten człowiek, którego czarne serce napełniło tylko uczucie nienawiści i zemsty, był dozorcą więziennym hrabiego Wernera.

Czy mógł baron Egon życzyć sobie lepszego sojusznika?

O, zadrżyj teraz hrabio Wernerze!

Słońce szczęścia twego już zachodzi i nie będzie ci więcej przygrzewać.

ROZDZIAŁ XVII.

Bez serca i sumienia

Baron Egon znał o tyle charakter Alojzego, że mógł być pewnym jego pomocy, nie wiedział jednak, jak zacząć rozmowę.

Zamek leżał pogrążony w ciszy.

Egonowi, który przeszedł długi szereg pokoi, nie natrafiwszy na żadną żywą duszę, wydawało się, że to jest jakiś zaklęty zamek.

Zły, otworzył furtkę do ogrodu zamkowego i wszedł w zieleń dziką i niepielęgnowaną.

Szlachetne rośliny, które dawno nie czuły na sobie pielęgnującej ręki, splatały się tu w dzikie gąszcze.

Żadne oko ludzkie nie zachwyciło się tu ich pięknością i tak więdły one bez pożytku.

Egonowi zdawało się, że tu chyba noga ludzka nie postała od lat wielu, zdziwił się też niezmiernie, zobaczywszy po kilku krokach, leżącą wśród krzaków postać niewieścią.

Smukła, o smagłej brunatnej cerze, piękna cyganka, leżała na trawie.

Egon zbliżył się do niej i oczy mu zabłysły. Cudna była ta cyganka. Brunatna skóra była miękka i aksamitna, mimo to, że ciemna prawie, przezroczysta tak, że widziało się krew krążąca pod nią.

Nos i usta delikatne, jakby rzeźbione, nogi w niezgrabnych trzewikach, małe i foremne.

Egon poczuł chęć, obudzenia tej śpiącej królewny pocałunkiem i nie namyślając się długo, pochylił się i pocałował ją.

Ledwie dotknął jej ust, cyganka zerwała się i oczy jej błysnęły wielkim gniewem. W gniewie tym wydawała mu się jeszcze piękniejszą, więc chciał ją objąć w pół i przycisnąć do siebie.

— Puść mnie — krzyknęła cyganka — co ci zrobiłam złego, że mnie obrażasz?

— Uspokój się, moja droga, całus to nie jest żadna obraza. Przecież mi nie powiesz, że nigdy nie dałaś nikomu całusa.

— Nie, ale także nie chcę, żeby mi go ktoś kradł. Dlaczego nie mam całować tego, kogo kocham?

— A, to ty czekasz tutaj na kochanka? — spytał Egon.

— Może i czekam, to ciebie nic nie obchodzi, a jak czekam, to przecież nie na twojej ziemi.

— Ej, może jednak na mojej — odpowiedział Egon.

Cyganka wybuchnęła śmiechem.

— Co sobie ten chłopiec wmawia, wiedz, że właścicielem tej ziemi jest hrabia Werner, prześliczny chłopiec.

— A on gdyby cię pocałował, czybyś się broniła? — spytał Egon.

— To ciebie nic nie obchodzi — odparła cyganka, zbierając do fartuszka kwiaty leżące na ziemi koło niej i uciekła.

— Zostań — krzyknął rozkazująco Egon.

— Łap mnie, jeżeli mnie chcesz mieć — zaśmiała się cyganka i już jej nie było.

Elegancik nie próbował nawet iść z cyganką w zawody.

Zły, odwrócił się i poszedł do zamku.

Zobaczył Alojzego wchodzącego na górę ze skopkiem w ręku.

— Aha, on doił kozy — pomyślał baron.

Alojzy zauważył go i zdjął kapelusz.

— Znasz mnie, Alojzy? — spytał Egon.

— Wasza dostojność, pan baron Sturmfeder odparł Alojzy. W jego wzroku malowała się zazdrość. Egon zauważył to.

— Uważam, że mi zazdrościsz — odpowiedział nader uprzejmie i życzliwie — a wcale nie masz powodu, raczej ja tobie mógłbym zazdrościć.

— Pan baron chyba żartuje — odrzekł Alojzy szorstkim, niskim głosem. — Taki pan miałby mi zazdrościć? Czego? Czy mego spadku, mojej hańby i pogardy jakiej doznaję od ludzi? Mnie ona od dzieciństwa prześladuje, a pan jest bogatym baronem, przed którym wszyscy kolana uginają.

— Bogaty? — śmiał się Egon — w długi bogaty jestem. Przysięgam ci, że często nie wiem, skąd wziąć na obiad. Jestem zrujnowany, jeżeli długi wszystkie nie popłacę.

Skłamał, że ma długi, bo je stary Wildenstein przecież już zapłacił.

— Z wojska musiałem kwitować — kłamał dalej — widzisz zatem, że nie ma mi czego zazdrościć. Ciebie prześladuje nienawiść ludzi, mnie los. Jesteśmy towarzyszami niedoli. Podajmy sobie dłonie.

Wyciągnął do niego arystokratyczną rękę.

Alojzy wahał się.

— Nie bój się towarzyszu — ośmielał go Egon — połączymy się, aby zdobyć szczęście. Zawiążemy przymierze. Pomóż mi ty, a ja cię wynagrodzę za niesprawiedliwości, które ci los wyrządził.

— Nie wiem, czem ja, chudopachołek mógłbym pomódz tak wielkiemu panu — z nieufnością odpowiedział Alojzy — pan baron chyba żartuje?

— Nie, wcale nie. Nie żartuję — lecz serio mówię, że ty mi możesz pomódz.

— W jaki sposób? — niedowierzał jeszcze kasztelan.

— Słuchaj — zniżając głos ostrożnie, rzekł Egon — powiem ci, jakie są moje plany, ale zaprowadz mnie na miejsce, gdzie nas nikt nie podsłucha.

— Tu jesteśmy bez świadków.

— Stangret mój może być tu gdzieś w pobliżu i podsłuchać. A tego co ci powiem, prócz twego, żadne ucho ludzkie słyszeć nie powinno.

Kasztelan otworzył drzwi jakieś, z których duszne, stęchłe powiało powietrze.

Widać było, że tam dawno żaden człowiek nie mieszkał.

Egon przysunął sobie fotel przykryty pokrowcem i wypłoszył kilka moli.

Baron spojrzał z niechęcią na grubą warstwę kurzu na pokrowcu.

Nie mógł się zdecydować usiąść na nim, oparł się tylko o tylną poręcz i rzekł.

— Hrabia Wildenstein nie żyje.

Alojzy zdziwił się.

— Gerhard także — ciągnął dalej Egon — a teraz między mną, a mojem szczęściem stoi tylko jeden hrabia Werner. Jestem prześladowany wierzyciele gnają mnie jak furje i wobec tego jeden z nas musi zginąć, albo ja, albo hrabia Werner.

— Nie jestem mordercą! — zawołał Alojzy.

— Kto to mówi?

— Pan, pan mi dawał do zrozumienia, żebym sprzątnął potajemnie hrabiego Wernera.

— Zrozumiałeś mnie źle — udając dobroduszność, mówił Egon — nie żądam od ciebie morderstwa. Zapomnij tylko o nim.

— Żeby on zginął z głodu i pragnienia? — spytał Alojzy, blednąc jak trup.

— Nie bierzmy tego tak tragicznie i nie mówmy o tem tak brutalnie. Co jest w tem nienaturalnego, jeśli zapomnisz o twoim więźniu? Wyjedziesz z Felseg na jeden, najwyżej na dwa dni do miasteczka, tymczasem zatrzyma cię tam dwoje pięknych oczu. W miękkich ramionach zapomnisz zupełnie o swym więźniu i wróciwszy, zobaczysz, że usnął na wieki.

— Usnął? Zdaje się, że to nie byłoby zbyt przyjemne uśnięcie. To przecie straszna śmierć, zginąć z głodu i pragnienia.

Egon nie odpowiedział.

Chodził niespokojnie po pokoju tam i napowrót wreszcie rzekł:

— Jakiś ty głupi. Jak żyjesz, nie zaznałeś nic prócz ucisku i pogardy. Teraz szczęście wyciąga do ciebie swe ręce — za jednym zamachem mógłbyś się wzbogacić, a ty zamiast chwycić się tego rękami i nogami, wahasz się, ty idioto!

— Hrabia Werner nigdy mi nic złego nie zrobił — rzekł Alojzy.

— Powiedz — rzekł Egon z szatańskim uśmiechem — coś ty zrobił chłopom z okolicy? Nic a nic, a jak ciężko odpokutowałeś za winę ojca. Od stworzenia świata tysiące ludzi cierpiało za cudze winy. Czy hrabia Werner jest coś lepszego?

— Od pierwszego dnia życia był szczęśliwy. Spał na różach. Życie jego całe było bez chmur i trosk podczas gdy inni cierpieli, on się radował.

— Gdy inni w pocie czoła pracowali na chleb codzienny, on bawił się z ładnemi dziewczętami.

— Skąd on przychodzi do tego, żeby sam jeden był szczęśliwy? Niech pozna teraz, co to jest nieszczęście. W ten sposób życiu oddaje tylko to, co mu się należy.

Szatańskie myśli Egona, znalazły posłuch i poklask u Alojzego.

— Rzeczywiście — pomyślał — dlaczego hrabia Werner nie ma cierpieć, czy ja nie cierpiałem.?

Właśnie chciał wyjawić, że się godzi, ale miał jeszcze wątpliwości.

— Będą go szukać? — rzekł. — On ma narzeczoną. a ona pewnie wie, dokąd on się udał. Co ja potem zrobię, jak mnie się spytają?

— Powiesz, że hrabia wczoraj wyjechał, by wrócić do Königswalden, że nie pojmujesz, co się mogło stać. że tam nie przybył. Będziesz niespokojny, przypomniesz sobie, że droga jest niebezpieczna i zaczniesz się obawiać, że mu się coś stało po drodze — mówił Egon.

Gdzie jego koń? — mówił dalej — czy stangret. który mnie tu przywiózł, widział go w stajni ?

— Nie. bo zapas owsa mi się, wyczerpał, więc wyprowadziłem go na paszę. Siodło i szpicrutę schowałem.

— To świetnie — rzekł Egon zadowolony — idź dziś jeszcze nad Czartowski Jar i rzuć szpicrutę na drogę tak, żeby ją łatwo można było zobaczyć, a konia osiodłaj w nocy i puść wolno. Koń instynktownie znajdzie drogę do domu, a gdy bez jeźdźca przyjdzie do Königswalden, domyślą się ludzie, że hrabiego Wernera spotkał nieszczęśliwy wypadek. Służba się rozbiegnie, by go szukać. Nie znajdą go wprawdzie, bo on dobrze jest schowany, ale będą przypuszczać, że zginął w Czartowskim Jarze.

— Będą myśleli, że koń go tam zrzucił — potwierdził Alojzy.

— Zarżnij kurę, a krwią z niej pokrop kamienie w górnej części przepaści. Będą wtedy myśleć, że to krew hrabiego Wernera. Przepaść ma 70 i kilka metrów i nikt się nie odważy spuścić się tam, by go szukać.

— To prawda, rzeczywiście — mówił kasztelan, coraz bardziej skłaniając się do szatańskiego projektu barona.

Chciwość i żądza używania ogarnęły tego człowieka, który tak długo cierpiał najgorszy niedostatek.

— Jak często ja byłem głodny i spragniony — myślał — niech i hrabia Werner wie jak to smakuje.

Egon wyczytał to na jego twarzy.

— Pomóż mi — rzekł — a nie pożałujesz.

— Co mi pan da za to?

— Dwadzieścia tysięcy reńskich.

Oczy Alojzego zabłysły chciwością.

— Daj mi pan — rzekł — a potem jestem na rozkazy i zrobię wszystko.

Baron nie powstrzymał się od złośliwego uśmiechu.

— Dobrze mój kochany — rzekł — gdybym ja teraz miał 20 tysięcy, nie siedziałbym tu, tylko bym się bawił w Wiedniu. Na razie zresztą nie mam za co ci płacić.

Zrób naprzód, co od ciebie żądam, potem dostaniesz. Pojedziesz w obcą okolicę, gdzie cię nikt nie zna i będziesz tam szanowany i poważany.

— Dlaczego mam stąd odjeżdżać? — zapytał podejrzliwie Alojzy.

— Dlaczego? — spytał ironicznie Egon — tak cię tu sąsiedzi nosili na rękach, że się z nimi nie możesz rozstać? Myślałem, że ci kamień spadnie z serca, jak będziesz mógł opuścić te strony.

— To prawda, ale kiedy otrzymam te pieniądze?

— Bądź spokojny — zapewniał go Egon — skoro tylko obejmę spadek po hr. Wildensteinie, dostaniesz je w gotówce.

— Myślałem, że skoro tylko hr. Werner nie będzie żył, to pan jako najbliższy krewny, obejmie spadek. Kto panu może przeszkodzić?

— Sąd mój kochany!

— Sąd!? — zawołał rozczarowany Alojzy, — o! to ja 10 lat mogę czekać na moje pieniądze, które mi się należą.

Mówił o tem, jakby o uczciwie zapracowanej nagrodzie.

— Nie będzie tak źle — uspakajał go Egon — a najdalej za dwa lata uzna go sąd za umarłego i przyzna mi majątek. Przysięgam ci na honor kawalerski, że wtedy wypłacę rzetelnie twoje pieniądze, gdziekolwiekbyś się znajdował. Zgadzasz się na to?

— Dobrze — ozwał się Alojzy po pewnem wahaniu.

— A więc zgoda! — zawołał Egon bardzo uradowany, — zrób wszystko, co ci mówiłem...

kamienie w jarze pokrop... kwią, może kurczę nie wystarczy... kozę zabij... szpicrutę rzuć, gdzie ci mówiłem, konia osiodłaj wypędź i upieraj się przy tem, że hrabia Werner wczoraj jeszcze stąd wyruszył.

— Czy nie wyda się dziwnem, że koń o tyle później wróci do domu?

— Musisz konia zranić w nogę tak, żeby kulał — pouczał go Egon — a wytłumaczy się opóźnienie konia.

— Żal mi konia zepchnąłbym go może do Czartowskiego Jaru?

Ten ponury brutal, u którego sumienie nie czułe było na zabójstwo człowieka, litował się nad zwierzęciem.

Dziwna dusza ludzka.

Egon namyślał się.

— Nie — rzekł po chwili — lepiej, żeby koń wrócił do zamku, bo to będzie świadczyć o tem, że Werner zginął. Każ zaprzęgać, i opowiadaj zaraz wszystkim, że hrabia Werner wczoraj jeszcze wyjechał.

— Może lepiej mówić, że teraz? pytał kasztelan — bo konia mogę wyprawić dopiero wieczorem. Wprawdzie tu jest pusta okolica, ale zawsze może ktoś przypadkowo zobaczyć i wtedy by nas zdradził, że koń już stąd, z Felseg biegł bez jeźdźca. To wzbudzi podejrzenie i może jeden albo drugi stary lokaj przypomnieć sobie podziemie nasze.

— No, to zresztą możesz powiedzieć, że wyjechał teraz przed chwilą. Ja nie spotkałem się z nim, bo jechałem gościńcem, a on wąską ścieżyną.

Alojzy ze złośliwym uśmiechem udał się do stajni.

— Masz zaprzęgać! — rzekł rozkazująco do stangreta.

— Bardzo nasz panicz rozpacza po śmierci dziadka? — pytał stangret.

— Nie wiem — odpowiedział szorstko.

— Przecież musiałeś być świadkiem, jak pan baron mówił z paniczem. Musiałeś więc słyszeć?

— Panicz wyjechał zanim przyjechaliście — rozminęliście się.

— Więc dlaczego nie spotkaliśmy się? — zdziwił się stangret.

— Musiał pojechać ścieżką, pewnie już dawno jest w Königswalden.

Stangret pospiesznie zaprzęgał.

Widać było, że cieszy się z tego, że Werner teraz będzie jego panem.

Jakież rozczarowanie czekało go.

Egon wyszedł z zamku i wsiadając do powozu zawołał:

— Jedź prędko! Rozminęliśmy się z panem hr. Wernerem. Chcę się z nim widzieć jak najprędzej.

Rzucił znaczące spojrzenie wspólnikowi i pojechał.

Alojzy z źle ukrywanym tryumfem patrzył za nim.

— Myślisz że mnie oszukasz! — szeptał sobie. — Nie będę taki głupi, żeby go zabijać. Jakbym miał potem gwarancję, że mi oddasz pieniądze!? Kilkoma guldenami byś mi potem chciał zatkać gębę i odsyłać do sądu, żebym się sam oddał w ręce kata, zdradzając ciebie. Nie ma głupich! Hrabia Werner będzie żył tak długo póki mi nie dasz moich 20 tysięcy. Naturalnie, że się z tem nie zdradzę i nawet przyjadę za kilka dni do pana barona z wieścią o śmierci hrabiego Wernera, ale nie opuszczę Felsegu, żeby więźnia nie pozostawić bez jadła. Jeżeli potem nie dostanę pieniędzy, powiem:

— Nie potrzeba — może pan sobie zatrzymać tych kilka guldenów — ja wypuszczę hrabiego Wernera, to mi więcej zapłaci! Tak jest! Dziw się pan! Hrabia Werner żyje!

— Tym sposobem — myślał dalej — wymuszę od niego moje pieniądze, a gdy je dostanę, ani mi przez myśl nie przyjdzie opuszczać tę okolicę! Rozsiędę się tu, jak grzyb, sprawię sobie, co ładniejsze, poślubię moją słodką cygankę i będę z nią żył jak u Pana Boga za piecem. A to się chłopstwo będzie złościć, widząc mnie właścicielem najpiękniejszego gospodarstwa. Pożółkną i pękną z zazdrości. Moich dzieci nie będą wytykać palcami.

Na myśl o tem, że będzie miał dzieci, rzewność go opanowała — ale tylko na chwilę.

Wnet miał znowu ostry, rubaszny wyraz twarzy.

Wieczorem szepnął sobie:

— Do dzieła!

Wyostrzył nóż i poszedł między kozy.

Solą zwabił je do siebie i łakome zwierzęta przybiegły.

Najmłodszą chwycił za rogi i w jednej chwili nożem ugodził ją śmiertelnie.

Zranione zwierzę z niemym wyrzutem spojrzało na mordercę i skonało.

I znowu ten surowy, okrutny człowiek, nie wahający się przed morderstwem człowieka, nie mógł znieść widoku śmierci zwierzęcia i odwrócił się. Jest to zupełnie naturalne, bo zwierzę, jako istota bezbronna, budzi stokroć większą litość, niż człowiek, który przecież zazwyczaj może się bronić.

Krew wypływającą z rany umieścił Alojzy do dużego naczynia, uważając dobrze, by nie rozlać ani kropli.

— Pieczeń będzie dobra! — myślał sobie, wlekąc potem kózkę do domu.

Tu krzątał się do wieczora.

Teraz był czas stosowny do wykonania szczegółowo planu.

Osiodłał konia, założył mu frenzle, do siodła przywiązał kosz, w którym były flaszki z krwią kozy i szpicrutę wziąwszy do ręki, wyruszył w drogę.

Nie miał odwagi wsiąść na siodło.

Nad Czartowskim Jarem rzucił szpicrutę na dół, tak jednak, że zatrzymała się na pierwszym krzaku i łatwo było ją zobaczyć.

Potem zdjął koszyk z siodła i ująwszy duży kamień, rzucił nim zręcznie w przednią prawą nogę szlachetnego zwierzęcia.

Koń dręczony bólem, stanął dęba i zarżał żałośnie, potem na trzech nogach, powoli i kulejąc posuwał się w stronę ku Königswalden.

— Biedne zwierzę — szepnął Alojzy — byłbym ci tego nie zrobił, ale to musiało się stać.

Z widocznym współczuciem patrzył za koniem, bo ten wróg ludzi był przyjacielem zwierząt.

Potem rozlał zawartość flaszek po kamieniach idących w dół przepaści tak, że wyglądało, jakoby człowiek ciężko zraniony stoczył się w przepaść z mocno krwawiącą się raną.

Potem zabrał kosz i flaszki i udał się w drogę spowrotem.

— Baron będzie zadowolony — mruknął, oglądając się na dzieło rąk swoich.

ROZDZIAŁ XVIII.

Straszna noc

Gdy powóz wiozący Egona zatrzymał się przed bramą zamku, zastał tam cały personel służbowy, czekający na nowego pana.

Wielkie było ich rozczarowanie, gdy zamiast ukochanego panicza wysiadł z powozu nielubiany i prawie znienawidzony baron, a za nim nikt.

— W którym pokoju jest pan hrabia? — zapytał Egon.

— Co jaśnie pan rozkaże? — zapytał Edward nie rozumiejąc.

— Pytam się w którym pokoju jest pan hrabia Werner. Rozminąłem się z nim i nie zastałem go już w Felseg. Musi więc już być tutaj.

Służący spojrzeli na siebie przerażonym wzrokiem.

— Pana hrabiego nie było tu! — zawołał Edward przestraszony.

Egon uśmiechnął się.

— No, musiał pan hrabia pojechać tam, gdzie go serce ciągnęło — rzekł i poszedł do zamku, zostawiwszy służbę bezradną i onieśmieloną.

— Jakto? Czemuż nie przybył natychmiast do zmarłego dziadka? To niemożliwe! — zawołała pokojówka.

— Przecież nie wie o tem! — dodała klucznica. — Może naprawdę jest na leśniczówce?

— Pobiegnę i zobaczę! — zawołała Julka, pokojówka.

— I zaglądniesz po drodze w oczy swemu polowemu — rzekła klucznica — no, ale idź, chciałabym już tylko wiedzieć napewno, czy panicz zdrów i cały.

Julka pobiegła na dół, a reszta służby rozeszła się do swoich zajęć.

Julka bez tchu przybiegła na leśniczówkę.

Na progu siedziała leśniczyna i łuszczyła groch.

— Czy jest tutaj pan hrabia? — zapytała Julka.

— W Felseg jest — odpowiedziała staruszka.

— Nie, dziś wyjechał stamtąd i w domu go nie ma. — Mój Boże! gdzie on się podział, skoro go tu niema.

Nagle krzyknęła głośno.

We drzwiach stanęła Sylwia, blada jak śmierć z szeroko rozwartemi oczyma.

Wyglądała jak skamieniała ze strachu.

— Matko Boska! — zawołała Julka — panienka mdleje.

— Sylwia skinęła ręką i spytała dziwnie spokojnym głosem:

— Kiedy pan hrabia wyjechał z Felseg?

— Nie wiem dokładnie kiedy. Pan baron był tam i właśnie stamtąd wraca. Opowiada, że już pana hrabiego nie zastał, że wyjechał, zanim on tam przyjechał i że się rozminęli. A więc powinienby już być w domu, a nie ma go.

— Może go po drodze co zatrzymało? — utrzymując z trudem spokój, mówiła Sylwia.

— A czy sam stamtąd wyjechał?

— Tak jest, zdaje się, bo pachołka zostawił panicz w domu, a tam znowu nie ma nikogo, tylko ten... ten jakiś Alojzy, a tegoby panicz nie wziął ze sobą.

Sylwia namyślała się chwilę, potem rzekła widocznie pocieszona:

— Widać, że się pan hrabia wybrał gdzieindziej, a nie do domu, bo byłby się z panem baronem spotkał.

— E, kiedybo, proszę jaśnie panienki, pan baron jechał gościńcem! — znacząco rzekła.

— Pan hrabia także! — rzekła stanowczo Sylwia, w duchu dziękując Bogu, że odebrała słowo od Wernera, że nie będzie jechał niebezpieczną ścieżką. — Widać, że pojechał gdzieindziej i wróci za kilka godzin.

Julka nie była tego zdania, lecz rzekła:

— Jak panicz wróci, przyjdę panience powiedzieć.

— Proszę Julcię bardzo o to! — rzekła Sylwia.

— Ależ naturalnie! — rzekła Julia z podziwem patrząc na piękność Sylwii.

Poszła, zostawiając ją smutną.

— Mój najdroższy! — myślała Sylwia — gdzie on się podział? Boże mój! Tak się boję o niego!

Wrócił właśnie do domu Herbert i pełen troski patrzył na jej bladą twarz.

Zabrał ją do miasta, sądząc, że to ją rozerwie, ale to jednak nie pomogło.

Teraz ten poważny starzec pieszczotliwie przemawiał do niej, by odganiała smutne myśli.

Sylwia z wdzięcznością patrzyła na niego.

— To dziwne — mówiła, że nie mogę znaleźć spokoju od kiedy on pojechał. W mieście zdawało mi się, że lada chwila domy runą na mnie i tęskniłam do domu, żeby nie być tak daleko od niego. A tu także nie mogę się opędzić myśli, że Wernerowi coś się stało. Już drugi raz śnił mi się, że go widzę zbroczonego krwią, rzucam się ku niemu i budzę się cała we łzach.

— Nerwowa jesteś — rzekł leśniczy — będziesz ze mną codziennie chodzić do lasu. Taka przechadzka dobra dla ciebie. Za długo ślęczysz nad robotami. Nie masz się czego obawiać. Werner wróci, chociaż — wiele — wiele rzeczy się zmieniło podczas jego nieobecności.

Sylwia spojrzała nań trwożnie.

— Co się stało? — spytała.

— Stary hrabia dziś umarł — rzekł.

— Umarł!? — zawołała Sylwia boleśnie. O Boże! w niezgodzie rozstał się z Wernerem! Jakże jestem nieszczęśliwa! Ja byłam przyczyną tego sporu!

— Niepotrzebnie przyznajesz się do winy niepopełnionej! — uspakajał ja leśniczy — pozbądź się tych niepokojących myśli, patrz na świat wesoło, jak przystoi szczęśliwej narzeczonej!

Sylwia nadludzkim wysiłkiem zmusiła się, żeby dla ojca zrobić wesołą minę.

Oparła się na jego ramieniu, gawędziła spokojnie i spokój ten pozorny zachowywała aż do wieczora.

O zwyczajnej porze wszyscy, oprócz niej, położyli się spać.

Ona w ich obecności zmuszała się do spokoju, za to teraz tem mocniej ból jej wybuchnął.

Załamała ręce i płakała rzewnie.

Płacz dał jej jakąś cudowną rezygnację.

Jakaś daleka, nieznana nadzieja wstąpiła w jej dusze z myślą o Matce Boskiej.

Uklękła by się modlić.

Noc była ciepła i łagodna; ludzie w koło uśpieni.

Sylwia zdjęła trzewiki, wzięła je do ręki i cichutko, nikogo nie budząc, wyszła do drzwi.

Ostrożnie odemknęła zasuwkę.

Na podwórzu pies wierny ze szczekaniem radosnym chciał się rzucić ku niej, lecz ona szybko zbliżyła się do niego i pogłaskała go.

Rozumne zwierzę pojęło, że chodzi o spokój i tylko kręcąc ogonem, przysiadło cichutko.

Gdy poszła dalej, pies chciał iść na nią, lecz ona zawołała cicho:

— Marsz, Pluto! — i pies posłusznie wrócił na swoje miejsce.

Sylwia poszła do małej kapliczki, w której się często modliła.

Tam zastała jeszcze świeże kwiaty, które sama niedawno przyniosła.

Zerwała je przed wieczorem owego dnia, którego hrabia Werner wyjechał.

Kwiaty jeszcze żyły. Czyżby jej szczęście miało być krótsze, niż życie kwiatów?

Sylwia uklękła pokornie przed obrazem Matki Boskiej i tu dopiero ze słowami modlitwy i łzami, całą swą boleść poleciła Bogu.

Uspokojona i pokrzepiona na duchu, pocieszona w sercu, podniosła się z kolan i wyszła na pustą drogę wiejską.

Cisza była w około, a Sylwia wsłuchując się w nią, usłyszała tętent kopyt końskich.

— Może to on — błysnęła jej myśl radosna przez głowę.

Lotem błyskawicy wybiegła na spotkanie najmilszego. Bystry jej wzrok ujrzał wnet w oddali coś, co wywołało na ustach jej okrzyk trwogi.

Koń bez jeźdźca. Poznała konia Wernera, zbliżyła się do niego, zobaczyła zranioną jego jedną nogę i zawołała:

— Werner nie żyje. — Ale jakiś głos wewnętrzny, szepnął jej: Werner żyje, a ty go wyratujesz. Jak lawa krążyła jej krew. W skroniach uderzało jej jak młotem, serce mało nie pękło, krwawe ogniki latały jej przed oczyma, a w uszach słyszała szum, jak burzy morskiej, gdy lotem strzały biegła do zamku Königswalden.

Włosy jej rozpuściły się w tym szalonym pędzie i spadały aż do kolan, a ona biegła jak szalona.

— Bez końca ciągnie się ta droga — myślała. — Boże, kiedy się to skończy? Daj mi skrzydła, Boże, żebym nie przybyła zapóźno. Chwała Bogu. oto już widzę zamek. Jeszcze kilka kroków.

Chwyciła kurczowo za dzwonek. Przeraźliwy jego głos rozległ się wśród głuchej ciszy nocnej. Ona zziajana i zdyszana przytuliła rozgorzałą skroń do zimnego granitu, nagle jakieś lodowe zimno przeniknęło ją całą, zdawało się jej, że wszystko obraca się koło niej, lasy, pola, domy i drzewa, potem jakaś czarna zasłona spadła jej na oczy i niemoc chciała ją ogarnąć. Przeciwko temu broniła się całym wysiłkiem woli.

Sylwia nie chciała zemdleć, gdyż od tego zależał ratunek Wernera, więc z jakąś gwałtowną energią trzymając się na nogach, dzwoniła bez przerwy.

We wszystkich oknach zamku ukazały się światła, dało się słyszeć skrzypienie otwieranych drzwi, kroki na korytarzach i Sylwia stanęła przed tłumem służby, spoglądającej na nią zadziwionym i pytającym wzrokiem.

— Jakiś wypadek zdarzył się hrabiemu Wernerowi — zawołała Sylwia — koń jego wraca sam gościńcem. Ludzie, — jeżeli macie serce, — na miłość Boską, chodźcie za mną. Weźcie ze sobą pochodnie, nosze, koniak i wino. Prędzej, na miłość Boską, zlitujcie się nade mną. Prędzej, prędzej, prędzej, zaklinam was, może go uda się jeszcze uratować.

Służba zaczęła głośno lamentować i płakać, lecz Sylwia zawołała rozkazująco:

— Teraz nie czas na płacze i lamenty, naprzód za mną, może Bóg pozwoli, że go zastaniemy jeszcze przy życiu.

Podczas, gdy tak wołała donośnym głosem, Egon podnosił kremowe story w swym pokoju i przypatrywał się całej scenie.

Sylwia podobała mu się bardzo. Domyślił się odrazu, kto to jest, zazdrościł Wernerowi tej miłości i tej trwogi o niego, jaką czytał na jej twarzy. Jego przyjaciółki kochały tylko jego pieniądze.

Tymczasem służba zachęcana zaklęciami Sylwii, spiesznie czyniła przygotowania do wyprawy.

Mimowoli wykonywała posłusznie wszystkie jej rozkazy.

Nareszcie oświetlając sobie drogę krwawoczerwonem światłem pochodni, wyruszył smutny pochód z Sylwią na czele.

Śmiertelna trwoga dodała jej nadzwyczajnych sił, z twarzy uciekły krople krwi, ale oczy świeciły, jak dwa słońca. Niezłomna energia i miłość dodawały im światła.

Sylwia wyglądała nie jak istota śmiertelna, lecz jak bogini.

Spotkali teraz zranionego konia, a jeden ze służących zaprowadził go do stajni; reszta zaś przyspieszyła kroku.

Gdy przybyli na wąską ścieżkę górską, wiodącą wśród skał do zamku w Felseg, musiał pochód zwolnić kroku.

Na wąskiej drodze widać było nieznaczne ślady skrzepłej krwi.

Nie trzeba było się domyślać, że pochodzi z rannego konia.

Droga z każdym krokiem stawała się coraz bardziej stroma.

Po obu jej stronach znajdowały się ogromne odłamy skał i wąskie lub szersze przepaście.

Sylwia skakała po kamieniach bez trwogi, jak prawdziwe dziecko gór i wysoko podnosząc pochodnię. wołała srebrnym, dźwięcznym głosikiem imię hrabiego Wernera.

Echo od skał powtarzało pięciokrotnie — Werner, Werner!

— Boże, zmiłuj się nade mną — szepnęła Sylwia — pozwól mi go znaleźć. Zabierz mi szczęście, radość, spokój, wszystko, ale chroń jego, żeby on tylko był szczęśliwy.

Uważnie szła dalej i naraz omal nie spadła w przepaść, lecz ona nawet nie myślała wcale o tem niebezpieczeństwie.

Pochylała się raczej ku przepaściom, wypatrując, czy nie znajdzie na dnie ich kochanka, a serce pękało jej z bólu.

Tak wiedziona najokropniejszemi przypuszczeniami, zaprowadziła służbę nad Czartowski Jar.

Ona pierwsza też zobaczyła krwią pobryzgane kamienie, rośliny, trawy i mech i prawie natychmiast zobaczyła szpicrutę Wernera.

Krzyknęła tak przeraźliwie, że przestraszeni słudzy przeżegnali się ze strachu i przerażenia. W porę pochwycił Sylwię jeden ze sług, bo byłaby wleciała w przepaść.

Służba lamentowała głośno i żałośnie.

— Nasz złoty, nasz kochany panicz, taki dobry był zawsze, taki śliczny, w tak młodym wieku.

— I nawet pogrzebu nie możemy sprawić — mówił Edward smutny. — Leży tam w przepaści, gdzie noga ludzka nie postała. Kruki i sępy zeżrą jego ciało. a kości będą bieleć na słońcu.

Nie było końca lamentom.

Nie widzieli wprawdzie ciała, ale każdy był głęboko przekonany, że Werner tam zginął.

Służba szczerze żałowała dobrego pana.

Litowano się też nad Sylwią, która owdowiała, nim poszła do ołtarza.

Na noszach, które Sylwia sama kazała wziąć dla Wernera, położono teraz ją i w milczeniu ruszył pochód spowrotem.

Zmieniając się w niesieniu, szli powoli tak, że dopiero nad ranem przybyli na leśniczówkę.

Tu jeszcze wszystko spało.

Pukanie w okno zbudziło panią Magdalenę.

Wstała i chciała właśnie, ubrawszy się, wyjść, by zobaczyć, kto o tak niezwykłej porze przybywa, gdy nagle przez okno zobaczyła na noszach Sylwię bez życia.

Oniemiała ze zdziwienia i zgrozy.

Z szybkością strzały rzuciła się ku drzwiom i wybiegła ku przybyszom.

— Nie żyje? — wyszeptała.

— Zemdlała — uspokajał ją Edward.

— Skąd wracacie? — zapytała przerażona leśniczyna.

— Panienka około jedenastej wczoraj przybyła do zamku — opowiadał sługa — i powiedziała nam, że koń jaśnie pana hrabiego sam wraca do domu, bez jeźdźca, szukaliśmy pana naszego — i....

— I nie ma? — zawołała Magdalena. — Co się z nim stało? Gdzie on jest? Dlaczegoście go nie odnaleźli?

Ciąg dalszy nastąpi.

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

5)

Niebezpieczny Gość

Powieść

— Panie Zdzisławie, co pan wygaduje? Ja widziałam, że stało się zupełnie przeciwnie. Nie pan jego, ale on pana pozostawił samego, oddalając się prędko w stronę willi. Wyglądało jakoby uciekał od pana.

Zdzisław zachichotał wesoło.

— Wie pani? Ten pan Tulczyński to oryginał w swym rodzaju. Ogromnie jest drażliwy na pewnym punkcie. Oto niech pani wyobrazi sobie, podobno od czasu kiedy zakochał się nieszczęśliwie, powziął dziwne uprzedzenie do wszystkich młodych kobiet.

— O!... — zawołała z komiczną powagą Janka. — W takim razie nie warto nim się zajmować.

Zdzisław spojrzał na nią z pod oka. Czyżby naprawdę chciała zająć się tym nieznanym „gryzipiórkiem"?... Musiał jednakże coś innego wyczytać w roześmianych oczętach dziewczyny, bo odparł wesoło:

— Zawsze może pani próbować. Mówią, że jest nieprzebłaganym wrogiem płci pięknej, ale nie wygląda na takiego. Osądzono go zbyt surowo. Uważam, że gdyby pani zechciała, to miałaby i tego, niby zimnego pana literata u stóp swoich.

Ale Janka nagle spoważniała. Alabastrowa skóra jej wysokiego czoła drgnęła lekko i ułożyła się w maleńką fałdę, która przecięła gładkie czoło.

— To dziwne — rzekła do siebie.

— Co pani uważa dziwnem?

— Och! Nie wiem, ale coś mi mówi, że ten człowiek nie jest pana przyjacielem!

Zdumiał się.

— Z czego to pani wnosi?

— Pan mówił, że ten pan Tulczyński jest trochę dziwakiem, a poza tym wcale sympatycznym człowiekiem, ale ja zdążyłam już spostrzec, że tak nie jest. Zresztą nie wiem, może go krzywdzę, ale zdawało się mi, że kiedy spojrzał na pana, to twarz jego wykrzywiła się jakby grymasem nienawiści.

Zdzisław zajrzał jej głęboko w oczy.

— Mogęż wiedzieć, co powoduje panią, że tę sprawę tak bardzo wzięła sobie do serca? — zapytał, a głos drżał mu z niepewności, czy wzruszenia.

Janka zawahała się chwileczkę.

— Pan powinien wiedzieć — odparła cicho, podnosząc na niego swe piękne oczy.

Młodzian wpatrzył się przez chwilę w słodkie źrenice dziewczyny, potem ujął silniej jej białą, foremną rękę i przycisnął do niej swe usta.

— Panno Janeczko — wyszeptał. — Panno Janeczko. Ja...

Co chciał powiedzieć? Niewiadomo, gdyż urwał naraz i szybko puścił jej rękę.

Byli tak zajęci sobą iż nie spostrzegli wcale, że zbliżyli się do tarasu nawprost głównego wejścia willi. Mrok już poczynał otulać ziemię, ale mimo tego kto z domu mógł zauważyć ich poufałość... Jednak nie to wpłynęło na zmianę w zachowaniu się Zdzisława.

Co innego było tej zmiany powodem.

Oto kiedy niezmiernie uszczęśliwiony odpowiedzią dziewczyny, ściskał jej delikatną rękę, na taras w wesołych podskokach wybiegła jakaś panienka.

Nagłe ukazanie się pięknej nieznajomej zdumiało niezmiernie Zdzisława, który stanął nieruchomo w cieniu niskiego świerka.

Irena zbiegła lekko z tarasu i podbiegła do kuzynki. Nie zauważyła jej zmieszania.

— Jano, niedobra dziewczyno! — zawołała żartobliwie. — Czekamy na ciebie dobre pół godziny! Wujek już kilka razy dopytywał się o przyczynę twej nieobecności, a ja nie wiedziałam co odpowiedzieć, choć wiedziałam dobrze, że w samotności pragnęłaś pomarzyć o twoim Zdzi...

Ale w tej samej chwili maleńka dłoń zatkała jej usta, nie pozwalając dokończyć rozpoczętego wyrazu.

Irena podniosła na kuzynkę zdumione oczy. Janka stała przed nią dziwnie zmieszana i, mimo panującego mroku, można było dostrzec ciemny rumieniec, jaki oblał jej twarzyczkę.

Irena mimowoli w bok odwróciła głowę i wtedy dopiero spostrzegła, że nie były same. Zmieszała się bardzo na widok eleganckiego młodzieńca.

Zdzisław był oszołomiony i pytająco spoglądał na jedną, to znowu na drugą dziewczynę. Ostatnie słowa Ireny zastanowiły go i równocześnie zaskoczyły.

Janka ochłonęła pierwsza.

— Pozwoli pan, że przedstawię mu swoją kuzyneczkę — rzekła pospiesznie. — Panna Irena Żalowska...

Zdzisław skłonił się z uszanowaniem, potem uścisnął małą rączkę.

— Doniecki jestem.

Irena drgnęła na dźwięk jego nazwiska i nagle — zrozumiała wszystko. Doniecki — to nazwisko ukochanego Janki!

Spojrzała na młodzieńca i szybko przeniosła wzrok na Jankę. W jej ciemnych źrenicach zamigotały filuterne ogniki.

Więc to tak?... A to dopiero klapa! Gdyby Janka w czas nie zatkała jej ust... Ale ta Janka!

Raz jeszcze spojrzała na oboje i jakiś dziwny dźwięk wydarł się z jej gardła. Chciała coś powiedzieć, ale najniespodziewaniej wybuchnęła perlistym śmiechem, potem zakręciła się w miejscu i w kilku skokach zniknęła w mrocznym korytarzu.

Zdzisław i Janka znowu pozostali sam na sam. Chwilę stali niezdecydowani, wreszcie spojrzeli na siebie i równocześnie zaśmiali się wesoło.

— Och, ta Ira! — Janka starała się usprawiedliwić kuzynkę. — Niech pan nie bierze jej tego za złe. Jest bardzo żywa, a czasem to ogromnie lubi swawolić.

— Morowa dziewczyna! — odparł Zdzisław łobuzerskim tonem. — Panno Janeczko, rozkoszną ma pani kuzyneczkę.

— Niewdzięcznik z pana.

— A...? Nieprawda.

— I niepoprawny nicpoń.

— Nieprawda.

Zdzisław przylgnął ustami do białej dłoni.

— Panie Zdzichu! Bo się pogniewam.

— Niech pani jeszcze się nie gniewa. Tylko raz jeszcze...

I znowu przylgnął ustami do jej ręki.

— Panie Zdzichu, nie wolno. Kto może zobaczyć...

Janka delikatnie usunęła rękę z pod jego gorących pocałunków.

Spojrzał jej w oczy, a wzrok jego zdawał się pytać: dlaczego... dlaczego?

Opuściła powieki, kryjąc poza niemi płomień swych oczu.

— Pójdźmy już — szepnęła zniżonym głosem. — Tam pewnie czekają na nas...

Kiedy weszli w mroczny korytarz, Zdzisław poddał się fali napływających nań uczuć. W uszach dzwoniły mu słodkie słowa Janki, a najwięcej radowało go to, że w oczach dziewczyny bez trudu mógł wyczytać uczucie wzajemności. Spoglądając na zarumienioną twarzyczkę dziewczyny, myślał właśnie coby to była za rozkosz móc pocałować jej malinowe usteczka! Pokusa była silna. Byli sam na sam i...

Mieli się właśnie rozstać, gdy Zdzisław przytrzymał rękę dziewczyny w swej dłoni.

Pytająco spojrzała na niego.

W tej samej chwili okolił ramieniem jej wiotką postać i, nim się dziewczyna spostrzegła, nachylił się błyskawicznie i przywarł ustami do jej rozchylonych ust.

Janka wydała cichy okrzyk zdumienia. Zbladła i uczyniła jakiś niezdecydowany ruch odepchnięcia go od siebie. Przez mgnienie oka zawahała się. Wreszcie resztkami woli wyrwała się z jego objęcia i przyłożywszy dłoń do, pokrytej ciemnym rumieńcem wzburzenia, twarzyczki, ulotniła się szybko z korytarza.

Zdzisław stał oszołomiony i przerażony swym postępkiem. Skusiło go coś do ucałowania aksamitnych ustek, ale czy tylko dziewczyna nie pogniewa się na niego? Pokusa była tak silna, że uległ jej bez sprzeciwu prawie, ale czyż tym przedwczesnym pocałunkiem nie spłoszył dziewczyny... nie zraził jej do siebie?... Jeszcze przed chwilą miał słodkie nadzieje i najlepsze myśli na przyszłość, gdy teraz...

Zgnębiony i zły na siebie pobiegł do swego pokoju.

Rozdział V.

CO SIĘ STAŁO?

Pan Krański był czegoś bardzo zafrasowany. Przyjazd panienek ucieszył go niezmiernie, ale równocześnie nasunął pewne myśli, które zaniepokoiły go nieco.

Oto traf chciał, że dziewczyny zjechały właśnie w tym czasie, gdy w willi zamieszkiwało dwóch młodych ludzi. Oczywiście co do młodzieńców nie można było mieć żadnych zarzutów, ale czy ich bezpośrednie sąsiedztwo nie będzie miało jakiego wpływu na młode panienki? Czyż już sam fakt częstego, a w tym wypadku nieuniknionego, obcowania z młodymi ludźmi nie narazi je na — broń Boże! — jakie złośliwe domysły?... Jakby tu temu zapobiec?

Gruba chmura osiadła na czole starszego człowieka.

— Wypowiedzieć im gościny nie mogę — myślał, marszcząc brwi w głębokiem zastanowieniu. — Przyjąłem ich dobrowolnie na okres dwóch miesięcy, więc teraz zmienić tego nie wypada. Zresztą teraz, w pełni sezonu letniskowego nie poszukaliby innej stancji. Hm!... Obaj godni są zaufania. Cóż robić? — machnął ręką. — Jakoś tam będzie.

Że młodzieńcy byli dobrze wychowanymi i ludźmi honoru, o tem pan Krański nie miał potrzeby wątpić, ani też nie wątpił wcale. Darzył ich pełnym zaufaniem.

— Tego literata nie znam jeszcze dostatecznie, abym mógł wydawać o nim opinię — myślał w dalszym ciągu. — Jest więcej w sobie zamknięty i trochę dziwak. Wiadomo jednak, że prawie każdy literat jest do pewnego stopnia dziwakiem. Myślami zbyt często buja w zaczarowanym świecie fantazji, a to nie pozostaje bez wpływu na jego charakter. Pozatem porządny człowiek. A ten drugi?...

Pan Krański uśmiechnął się z przymusem.

— Udaje niewiniątko i myśli, że nie wiem o niczem — dodał półgłosem. — Ejże, panie Zdzisławie! I my znamy się na tych rzeczach troszeczkę. Nie tutejsze letnisko, ani chęć miłego wypoczynku przywiodły cię w nasze strony, ale obcisłe sukienki i niebieskie oczy...

Dobroduszna twarz starszego człowieka przybrała dziwnie poważny wyraz. Powstał od biurka i począł przechadzać się po gabinecie. Musiał głowę mieć zaprzątniętą nie bardzo przyjemnemi myślami, bo czoło jego przecięła głęboka brózda, zaś od czasu do czasu gładził starannie wygolony podbródek, co u niego było oznaką głębokiego zastanowienia.

Po chwili podszedł do otwartego okna i zapuścił wzrok w głąb ogrodu. Wodził oczyma po wszystkich gankach i alejach, ale nigdzie nie dostrzegł żywej istoty.

— Gdzie te miłe sroki pobiegły? — mruknął zaciekawiony. — Czyżby bezwiednie wyszły naprzeciw młodzieńcom? A toż to byłaby niespodzianka!

Zamyślił się.

Twarz jego znowu się zachmurzyła, a zamyślone oczy utkwił w bezbrzeżnej dali.

— Szczególne — rzekł do siebie. — Dziewczyna czegoś zbyt skwapliwie wypytywała mnie o nazwiska letników. Czyżby to była tylko niewinna ciekawość?... Ale w takim razie cóż znaczyło jej pomieszanie w momencie kiedy wspomniałem o młodym letniku?... A może zdawało mi się tylko?

Pan Krański odwrócił się od okna i począł miarowym krokiem przemierzać pokój. Widocznie układał coś w myśli, bo usta jego poruszały się w niezrozumiałym szepcie, a wysokie, klasyczne czoło marszczyło się uporczywie.

— Co do młodzieńca, to nie ma żadnych wątpliwości — dodał po chwili głośniej. — Ale nie dziwię się jemu. Dziewczyna niebiedna, przytem niezwykłej urody, więc zrobiła na nim wielkie wrażenie. Lecz Janka...?

Ściągnął brwi surowo.

— Czy podobna, żeby moja córka miała popełnić taką lekkomyślność?!...

Oczy jego błądziły po obwieszonych obrazami ścianach, aż wreszcie zatrzymały się gdzieś w kącie pokoju.

— Przykro mi wdawać się w tę sprawę — szeptał — ale trudno. Skoro oszukuje mnie niejako, skoro wogóle grzeszy brakiem zaufania do mnie, moja rzecz wyświetlić wszystkie sekreciki, ukrywane przede mną. To jest obowiązkiem ojca!

I jakby uspokojony tą myślą, począł swobodniej krążyć po pokoju.

Po niejakimś czasie znowu zbliżył się do okna.

— Coś bardzo długo nie wracają — mruknął. — Trzeba je przywołać...

Zadzwonił na służącego.

Wszedł może dwudziestotrzyletni chłopak o ciemnych włosach i starannie wygolonej twarzy. Był to młodzieniec wysokiego wzrostu, muskularny, o ruchach zwinnych sportowca. Syn biednych, lecz uczciwych rodziców, już jako 16-letni chłopiec rozpoczął służbę u państwa Krańskich. Obecnie pełnił czynności lokaja.

— Słuchaj-no Franciszek — odezwał się pan Krański. — Panienki wybiegły do ogrodu i prawdopodobnie dotąd tam przebywają. Powiedz Melanii, aby pobiegła do ogrodu powiedzieć panienkom, że je proszę, aby już powróciły. Będę czekał na nie tutaj, w swym gabinecie.

— Dobrze, proszę pana.

Lokaj wyszedł, aby spełnić polecenie.

Pan Krański przeszedł się jeszcze kilka razy po pokoju, potem zagłębił się w miękkim fotelu. Rozjaśniwszy twarz, oczekiwał nadejścia wesołych panienek.

— — — — — — — —

Rankiem, dnia następnego, Irena, ubrana w lekką różową sukienkę i ładny kapelusik, wbiegła do pokoju kuzynki.

Janka siedziała przy oknie, zapatrzona w dal rozmarzonemi oczyma.

— Jano! Bój się Boga! — zawołała zdziwiona Irena. — Jeszcze nie skończyłaś z toaletą?... A panowie czekają już na dole...

Janka przeciągnęła się leniwie.

— Dlaczego czekają? — rzekła jakby z drżeniem w głosie. — Przecież ja nie pójdę dzisiaj na wycieczkę...

Irena stanęła nagle jak wryta. Zdumienie odmalowało się na jej twarzyczce.

— Czy żartujesz, Jano? — zawołała. — Nie?... W takim razie nie rozumiem cię dzisiaj. Dlaczego nie chcesz iść z nami?

— Głowa mię rozbolała — skarżyła się Janka, odwracając głowę dla uniknięcia badawczego spojrzenia kuzynki. — Wolę więc pozostać w domu.
Irena zajrzała jej w oczy.

— To nieprawda, Janko. Tobie coś innego dolega. Ale pomyśl tylko, co panowie powiedzą? Pan Zdzisław...

— Nie nalegaj, Iruś. Powiedz ojcu, że maleńka niedyspozycja nie pozwala mi wziąć udziału w wycieczce.

— Naprawdę nie chcesz iść z nami?

— Powiedziałam przecież.

— Janeczko, ty coś ukrywasz przede mną. Powiedz, co tobie jest? Dlaczego nie chcesz iść z nami?...

Janka zmarszczyła brewki.

— Nic mi nie jest — rzekła. — Ot, poprostu nie mam dzisiaj ochoty do tej uciążliwej wycieczki. Nie nalegaj Iruś — dodała. — Przecież znasz mię dobrze. Musisz więc wiedzieć, że nigdy nie zmieniam tego, co już raz postanowię.

— Ależ, nie rozumiem...

— Zapewniam cię, że jest tak, jak mówiłam.

— Jeszcze tylko jedno pytanie, Jano: czy zaszło coś pomiędzy tobą, a panem Donieckim?

Janka odwróciła głowę.

— Idź już Iruśko. Powiem ci wszystko, jak wrócisz z wycieczki. Teraz idź już, bo tam pewnie niecierpliwią się tak długiem czekaniem.

Irena nie poznawała kuzynki. W zachowaniu Janki było coś takiego, czego na razie nie mogła określić. Przez chwilę wpatrywała się w twarz Janki, jakby pragnęła wyczytać ukryte w jej głowie myśli. Wahała się jeszcze. Wziąwszy potem nagłe postanowienie, ucałowała kuzynkę w oba policzki i wybiegła z pokoju.

— Co to wszystko znaczy? — myślała, idąc korytarzem. — Janka coś ukrywa przede mną. Ta nagła zmiana w jej zachowaniu... Czyżby powodem tego miało być pojawienie się drugiego młodego człowieka?!...

Przy wczorajszej wieczerzy obie panienki poznały młodego literata. Tulczyński był przystojnym i wcale przyjemnym mężczyzną. Byłby niewątpliwie sympatyczniejszym w oczach młodych panienek, gdyby nie nosił zarostu. Ale niestety każdy ma swoje gusta i upodobania. I młody człowiek utrzymywał z przekonaniem, że zarost to najpiękniejsza ozdoba twarzy brzydszej połowy rodzaju ludzkiego.

Jak już może spostrzegliśmy, Irena była uważną i spostrzegawczą dziewczyną, a jako taka, zaobserwowała nieraz to, czego inni wcale nie dojrzeli, albo też co uszło uwadze drugich.

Ona więc sama tylko spostrzegła, że Tulczyński był jakby zmieszany i zaskoczony pytaniami, dotyczącemi jego osoby. Odpowiadał krótko, niekiedy nawet lakonicznie, ale ona w jego odpowiedziach wyczuwała nutę nieszczerości.

Wogóle młody literat zrobił na Irenie dziwne wrażenie. W tej chwili nie umiała jeszcze określić, jakie było to wrażenie — dodatnie, czy też ujemne.

— Jest przystojny, grzeczny, nawet prawie elegancki — myślała — ale coś mi się w nim nie podoba.

Wczorajsze spotkanie żywo utkwiło jej w pamięci. I teraz poczęła w myśli rozbierać wszystko w chronologicznym porządku. Jakże to było? O, pamięta każdy szczegół doskonale:

Janka była bardzo wzruszona, kiedy powróciła do gabinetu ojca po owym spotkaniu ze Zdzisławem w ogrodzie. Irena powitała ją figlarnym uśmiechem, domyślając się, że niespodziewane spotkanie z kochanym człowiekiem zrobiło na niej takie wrażenie.

Pan Krański także musiał się czegoś domyślać, bo długo i badawczo popatrzył na córkę i przyciągnąwszy ją do siebie, pocałował w białe czoło. Potem wziął palcami za bródkę, podniósł jej główkę do góry i bystro patrząc w oczy, zapytał wpół poważnie, wpół żartobliwie:

— Moja córeczka coś bardzo długo przebywała w ogrodzie, co? hę?...

Janka spłonęła przelotnym rumieńcem.

— Tatuńcio gniewa się na mnie? — zawołała z sztuczną wesołością. — Przepraszam ojczulka... bardzo przepraszam. Miałam już wrócić, gdy spotkałam — wiesz kogo?... Tego młodego, twego znajomego letnika. Rozmawiałam z nim chwilkę...

Pan Krański lekko zmarszczył brwi. Chciał coś powiedzieć, ale w tym samym momencie dano znać, że wieczerza już na stole. Przeszli więc do jadalni, dokąd też wnet nadeszli dwaj młodzi letnicy.

Dziewczyny obrzuciły wchodzących ciekawemi spojrzeniami. Przez parę sekund obie strony obserwowały się wzajemnie. Irena szybko porównała obu młodzieńców, a wynik tego porównania był dla Tulczyńskiego mniej korzystny. Zdzisław, jako młodszy i przystojniejszy, podobał się jej więcej, niż nieco sztywny, „brodaty“ literat.

Spojrzała na kuzynkę znacząco i naraz zdumienie odmalowało się na jej, dotąd uśmiechniętej, twarzyczce.

Zobaczyła bowiem, że Janka stała naprzeciw młodego literata, mierząc go niepewnym wzrokiem. Była przytem bardzo blada i jakby nieco zmieszana. Przetarła ręką czoło, jakby pragnęła odegnać jakieś niemiłe myśli...

Dlaczego osoba Tulczyńskiego zrobiła na niej takie dziwne wrażenie?

Irena obrzuciła literata uważniejszem spojrzeniem. Spostrzegła jeszcze, jak Tulczyńskiemu zapałały oczy silniejszym blaskiem, kiedy wzrok jego objął wysmukłą postać panny Krańskiej. Może też jej się zdawało tylko, a może był to odbłysk światła na szkłach jego okularów?

Lecz nie na tem skończyły się spostrzeżenia Ireny. Tego wieczora nie mogła zrozumieć wiele rzeczy. Dziwiło ją niezwykłe zachowanie się kuzynki. Mianowicie Janka ciągle, choć ukradkiem obserwowała literata, a kiedy wszyscy zasiedli do stołu, zajęła miejsce obok Tulczyńskiego i tylko z nim prowadziła ożywioną rozmowę, ignorując zupełnie Zdzisława. Po zwierzeniach Janki w altanie Irena spodziewała się coś zupełnie innego.

Czyżby co zaszło między Janką, a Zdzisławem zaraz przy pierwszem, po długiem niewidzeniu, spotkaniu w ogrodzie?

I teraz, zbiegając ze schodów pierwszego piętra Irena zadawała sobie to samo pytanie.

Bo nie ulegało wątpliwości to, że Janka umyślnie nie chce iść na wycieczkę, tylko z powodu uczestniczenia w niej jednego z młodzieńców.

— Nic nie rozumiem — szeptała Irena. — Co jej stać się mogło?... Wczoraj była taka stęskniona za „nim“ i potem, gdy go spotkała, zdawała się być bardzo uszczęśliwiona, a teraz unika go formalnie. Musiało między nimi zajść jakieś nieporozumienie.

A może to z powodu Tulczyńskiego? — błysła jej myśl w głowie.

— Niemożliwe! — odpowiedziała sobie natychmiast. Znam dobrze Jankę. Jest stałą i taki „brodaty“ literat nie zawróciłby jej w głowie...

Więc co?

Zamyśliła się. Wnet jednak nieznaczny uśmiech zaigrał na jej ustach.

Ciąg dalszy nastąpi.

ZE WZGLĘDU NA ZASZŁE NIESPODZIEWANE TRUDNOŚCI TECHNICZNE, NIE DODAJEMY DO BIEŻĄCEGO NUMERU WKŁADKI. RÓWNOCZEŚNIE ZAZNACZAMY, ŻE OD NASTĘPNEGO NUMERU BĘDĄ „MOJE POWIEŚCI“ WYCHODZIŁY JUŻ Z WKŁADKĄ W NORMALNEJ OBJĘTOŚCI.

5)

Radość życia

powieść

Zatrzymałem się i wpatrzyłem uważnie w twarz mego słuchacza. Twarz ta nie drgnęła ani jednym muskułem, tylko oczy zapaliły się blaskiem i rumieńce wystąpiły mocne na policzkach. Umyślnie przeciągałem pauzę, aby zmusić tego naprawdę pięknego olbrzyma do wyraźniejszego objawienia swych uczuć. On jednak milczał, tylko oczy nakrył teraz powiekami. Kończyłem więc:

— Kiedy już miałem dziękować za gościnę, by iść dalej, Halia przyszła do mnie z twarzą smutną i bolejącą i rzekła mi: „Idziesz tam, w góry? Może spotkasz mojego Konstantyna, powiedz mu, że Halia czeka, tęskni i cierpi.“ Obiecałem jej to. Obiecałem, ale czy spotkam Konstantyna i spełnię obietnicę?

Młody orzeł powstał gwałtownie z miejsca, a oczy jego nabrały żywości i jakby przemówiły. Oczy greckie zazwyczaj nic nie mówią, a tylko błyszczą, lecz oczy tego młodego tura mówiły i wyrażały wszystkie myśli, które teraz kłębiły się w jego mózgu, pod tą mocną i klasycznie sklepioną czaszką.

Powstałem i ja. Teraz już nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że ten człowiek był poszukiwanym przez Halię Konstantynem. Czekałem, co mi powie, co zadecyduje? Czy uwierzy w moją w połowie zmyśloną opowieść, czy też... Ale nie — on nie może uwierzyć. Przez wzgląd na końcową prawdę mojego opowiadania — nie będzie dociekał prawdy innej. Dla niego sprawa Halii była najważniejsza i ona jedynie w mózgu mu utkwiła.

Odwrócił się nagle do mnie. Jego wspaniała, orla twarz wyrażała uduchowienie i była jeszcze piękniejszą, niż przedtem.

— Twoje słowa są prawdziwe, człowiecze — rzekł, wciąż w zamyśleniu. — Powiedz, czegobyś pragnął?

— Jedna rzecz jest na świecie, której pragnę: odszukać moją Niobe.

— Odszukać Niobe... — powtórzył jak echo. — Dobrze, będziesz ją miał nim tydzień upłynie... A teraz pójdź tam, do tych ludzi.

Poszedłem za nim. Kiedyśmy wchodzili do długiej i niskiej izby szynku, wszystkie oczy utwione były w zamaskowane drzwi.

— Princip, flaszka wina na człowieka — ja płacę! — rozkazał, a następnie zwrócił się do swoich komiltonów: — Ten człowiek prawdę powiedział. Jest wolny i niechaj Bóg broni każdego, ktoby mu krzywdę ośmielił się wyrządzić, przed moim gniewem.

Trzykrotny hałaśliwy okrzyk na cześć wodza, okrzyk posłuszny i pokorny, a jednocześnie pełen ufności i wiary rozdarł powietrze. Jednocześnie prawie na stołach pojawiać się zaczęły butle wina. Kilka wystrzałów pistoletowych ukoronowało całe zajście i cała ta zgraja ludzka zabrała się natychmiast do osuszania flaszek.

Konstantyn wschodnim obyczajem, posadził mnie na honorowem miejscu po swej lewej stronie, podsunął mi ogromnych rozmiarów kielich, nalał weń złotego wina i rzekł:

— Pij bracie, i nie martw się. Nim tydzień upłynie, odnajdziesz swoją Niobę, choćby się ona w piekle skryła. Pij i ciesz się! Jestem dzięki tobie, szczęśliwy, szczęśliwy, jak dawno nie pamiętam kiedy takim byłem. A cóż jest piękniejszego nad szczęście? Nad miłość pięknej kobiety, i wino?

Podniósł swój kielich do ust, a ja poszedłem niezwłocznie w jego ślady i natychmiast prawie, równomiernie ze spływaniem do mego gardła boskiego nektaru z gron winnych, poczułem, jak bardzo oddalają się ode mnie wszelkie smutki i troski i jak wstępuje we mnie dawna radość i dawna prawda życia.

XIII

— Już niedaleko — mówi mi mój przewodnik, który prowadzi mnie jakiemiś sobie tylko znanemi drogami w zupełnie nieznaną mi stronę.

Ja nie odpowiadam, bo czuję, jak bardzo jestem wzruszony myślą, że oto już nie długo, może za godzinę, a może prędzej, zobaczę ją, moją bosonogą pasterkę grecką, moją Niobe. I wierzę, że to się stanie. Już teraz nie mam żadnej obawy, ale ufam temu dzikiemu człowiekowi, którego Konstantyn dał mi za przewodnika. Jego ostry głos brzmi teraz dla mego ucha tak mile, jak ta pieśń Niobe, którą uwieczniłem krwią moją serdeczną na chitonie i teraz czuję jego dotyk na nagiej skórze mej piersi.

Wiatr szumi w zaroślach jałowca i gwiżdże wśród dzikich i poszarpanych skał, a mnie się zdaje, że to duchy dawnych poległych na tych polach i wśród tych urwisk skalistych Greków, powtarzają dookoła: Niobe, Niobe, Niobe...

Wszystko dokoła zdaje się powtarzać, nucić, śpiewać, odmieniać to jej cudowne imię, któremu nie masz równego.

Bo imię to jest poezją miłości i poezją życia.

Jest wiecznie młode, jak wiecznie młodem jest uczucie, które ludzie miłością nazywają.

Ciepłe, jak łono matczyne, do którego tuli się dziecię zziębłe i strwożone.

Niobe!

W tem jednem krótkiem słowie jest dla mnie wszystko: moja teraźniejszość i przyszłość, sława i wielkość, rozkosz i pieszczota — wszystko jest w niem.

Jest w niem natchnienie moje i wena, jest wiara i ufność, ucieczka moja i ukojenie.

Zeszliśmy z gór. Zostały one daleko za nami i już nie nęcą nas więcej; teraz przed nami równina, poznaczona niby garbami niewielkiemi wzgórzami. I trawy tu bujniejsze niż gdzieindziej i zwierzyny więcej. Lecz jakże daleko to miejsce od tego, gdzie dawniej byliśmy razem z Niobe.

Naraz przewodnik mój, który szedł zwykle o kilka kroków przede mną, przystanął raptownie i dał mi znak ręką, bym podszedł.

— Widzisz te szałasy tam na wschodzie? — rzekł. — Tam znajduje się dziewczyna, której szukasz. Idź tam. A kiedy spotkasz naszego wodza, powiedz mu, że Mehmed Mocny spełnił wiernie polecenie. Bądź zdrów, ja wracam do swoich.

I nie czekając na moje podziękowanie, odwrócił się i odszedł szybko w powrotną drogę.

Długo patrzyłem za nim, dopóki zupełnie nie zniknął mi z oczu. A potem — potem ruszyłem przyśpieszonym, gorączkowym krokiem naprzód, wpatrzony w ciemny punkt na horyzoncie, który pokazał mi przewodnik Mehmed Mocny, ów muzułmanin, który wbrew kanonom Proroka Mahometa, chłeptał wino daleko chciwiej od najchciwszego niewiernego i drwił z raju i z rozkoszy, jakie tam obiecywał Prorok wiernym swoim synom.

Z każdym krokiem zbliżałem się do czarnego punktu namiotów i już nawet dostrzegałem stada, poruszające się falisto, jakby to całe pagórki się poruszały, a nawet psa „Hektora“, z którym tak bardzośmy się przyjaźnili.

Po początkowem wzruszeniu, które mi niemal władzę w członkach odbierało, poczułem się teraz zdecydowanym i uodpornionym na wszelkie słabostki.

Jakiś człowiek wyszedł z namiotu i nakrywszy oczy dłonią, niby daszkiem, patrzał w moją stronę. Nie była to Niobe, tego byłem pewny. A tuż i „Hektor“, jakby już na odległość wyczuł przyjaciela, zaszczekał radośnie i oderwawszy się od stad, pomknął w szalonym biegu ku mnie. Przypadł mi do

nóg, łasił się z radosnym piskiem, skakał mi do twarzy, a gdy go wziąłem na ręce — lizał mi całą twarz, ręce i mówił coś w swoim psim języku. Zapewne wyrażał ogromną radość swoją z mojego przybycia tutaj.

W radosnej zgodzie poszliśmy już ku stadom. Teraz dopiero zobaczyłem Niobe. Serce mi zabiło mocno i nogi tak zadrżały, że przystanąłem na miejscu, by zapanować nad sobą. A potem poszedłem ku niej, uśmiechając się już z daleka przyjaźnie i kiwając jej na powitanie głową, choć ona nie mogła wcale tego widzieć. Byłem jednak przekonany, że i ona tak samo uśmiecha się do mnie i tak samo kiwa mi głową na powitanie.

Zbliżaliśmy się do siebie, a tymczasem tę przestrzeń, która nas wciąż jeszcze rozdzielała, przebywał w szybkim biegu „Hektor", urządzając sobie wyścigi tam i spowrotem, tam i spowrotem.

Jeszcze krok - drugi z mojej i z jej strony i oto stoimy już na przeciw siebie, oboje wzruszeni. Niobe jest zarumieniona, nie wiem, czy od wiatru, czy też z powodu mojego przybycia. Odzywam się pierwszy, choć jestem bardzo wzruszony i głos tak bardzo mi drży.

— Widzisz... widzisz, Niobe — wróciłem... wróciłem.

I czuję, że jeszcze chwila, a we mnie zbudzi się utajona i drzemiąca gdzieś na dnie mojego jestestwa bestja, że porwę ją w ramiona i, choćby samo piekło, razem ze wszystkiemi szatanami i z samym Luciperem na tronie runęło mi na głowę — złożę znowu na jej ustach i na jej oczach pocałunek.

Wtem jednak odzywa się we mnie rozsądek, zdrowy sens, sumienie, czy jak tam nazwiecie to sobie i wali mnie niby obuchem po czerepie:

— „Idioto centnarowy, czy chcesz znowu obrazić tę swoją boginię olimpijską, czy chcesz narazić się na spojrzenie jej oczu, w których żal jest w możności cię spopielić? A potem znowu rymniesz jej do bosych stóp jak długi, w prochu się będziesz tarzał, łaski i przebaczenia żebrał... Poco ci to? Zastanówże się, człowieku!"

Bestja moja dostała obuchem w samo ciemię i schowała na dnie swoje rogi, a przez oczy moje wyjrzała boskość człowieka — dusza. I ona to, patrząc uparcie w oczy Niobe, znalazła tam gdzieś siostrzycę swoją i rozradowała się ogromnie. Duch pokonał materję, dobry anioł zwyciężył utajonego w nas szatana.

Niobe podała mi ręce, które ja uścisnąłem krzepko i nie wypuściłem ich już. Więc staliśmy tak spleceni oboje pod bezchmurnem niebem i nie odrywaliśmy już oczu naszych od dusz naszych, a biegnący gdzieś aż od gór swawolny wicherek, trzepotał naszemi szatami i chłodził rozpalone twarze nasze.

— Wiedziałam, że wrócisz, Sew — szepnęła cicho, a szept ten wydał mi się cudownym szmerem skrzydeł cherubinowych, któremi oni chłodzą Pana w dnie upalne i znojne.

— I ja wierzyłem, że cię odnajdę, Niobe, wierzyłem. Ale... dlaczego uciekłaś wtedy? Dlaczego? Szukałem cię wszędzie, wołałem, przebiegałem pagórki i wądoły, góry i przepaście, ale nigdzie znaleźć cię nie mogłem...

Niobe posmutniała bardzo i jakby z trwogą obejrzała się za siebie, gdzie w niewielkiem oddaleniu pasły się jej owce i widniały namioty pasterskie. Spostrzegłem to i spytałem:

— Czemuś smutna, Niobe?

— Ach, nic, nic... — odrzekła jakby w rozdraźnieniu. — Powiem ci to... później, wieczorem, gdy wszyscy spać pójdą i noc nastanie.

Pociągnęła mnie za rękaw i poszliśmy razem ku namiotu. Nie pytałem już o nic, ale postanowiłem czekać cierpliwie wieczoru, obiecując sobie wiele wzruszeń i wiele chwil rozkosznych.

Nie miałem już teraz żalu do Niobe, że mnie opuściła, że uciekła wtedy, kiedym ja do Aten powędrował. Domyślałem się, że nie z własnej woli to zrobiła i doznałem ulgi.

XIV

Okazuje się, że Niobe, oprócz matki, ma także ojca i inne dość liczne rodzeństwo, o czem dotąd nie wiedziałem. Zaraz z wieczora, skoro tylko załatwiono się z wieczornemi porządkami około owiec, cała rodzina mej pasterki zgromadziła się w osobnym namiocie, gdzie odbywały się jakieś tajemnicze narady. Krzyki i wrzaski, które się tam rozlegały, dochodziły aż do mnie, choć znajdowałem się dość daleko. Były to swarliwe, skłócone głosy kilku osób, mówiących naraz. Tylko Grecy mogą tak dyskutować i co najważniejsze, rozumieć się wzajemnie. Jakże nisko upadli w porozumieniu ze swymi znakomitymi przodkami! Nie byłem ciekaw tych swarów rodzinnych, choć chwilami przychodziło mi do głowy, że to może moja osoba wchodzi tam w grę, że to moja bosonóżka stacza tam homerycki bój o moją osobę. Myślałem wtedy, że może należałoby jej pośpieszyć z odsieczą, lecz po namyśle — wyrzekałem się takiego zamiaru. Siedziałem więc nadal w moim przedziale, mając za sąsiedztwo rozbeczane jagnięta i owce i czekałem wyników tej rady familijnej. Byłem pewien, że Niobe przyjdzie do mnie, ażeby mnie poinformować o wszystkiem co się tam działo.

Wrzaski i swary trwały długo w noc i to cichły na jeden krótki moment, to wybuchały znowu ze zdwojoną namiętnością, wkońcu ucichły nagle i na długo. Ta cisza, tak nieproporcjonalnie długo trwająca w porównaniu do poprzednich, zwróciła odrazu moją szczególniejszą uwagę, właśnie dlatego, że była niezwykłą. Nareszcie skończyli — przemknęło mi przez mózg — to najpewniejsze.

I teraz skoncentrowałem moje myśli w tym kierunku, jak się skończyła rada, i czy Niobe przyjdzie, by mi jej wynik oznajmić?

Natężyłem słuch i wzrok utkwiłem w otworze namiotu. Zacząłem czekać.

Po kwadransie najdalej dał się słyszeć łagodny szelest bosych kroków na trawie, poła namiotu, zasłaniająca wejście — odchyliła się nagle i na tle wygwieżdżonego nieba stanęła Niobe. Podbiegłem natychmiast do niej i spojrzałem na tę jej twarz, która niczego ukryć nie potrafiła, a wszelkie uczucia odbijały się na niej, jak obrazy na taśmie filmowej.

— Dlaczegoś gniewna, Niobe? — spytałem.

Pociągnęła mnie w głąb namiotu i usiadłszy na kupie owczych skór, długo milczała, po czym dopiero zaczęła głosem do srebrzystych dzwoneczków podobnym:

— Ból mam w sercu, Sew, i ból w duszy... Oni tam — błysnęła oczami gniewnie — oni tam, wszyscy, ile ich jest, postanowili wygnać cię precz stąd... Broniłam cię... broniłam jak własnego życia, zaklinałam, groziłam i prosiłam, ale to nic nie pomogło. Ci ludzie ogłuchli na głos serca i na to niema rady... niema rady...

— Ale dlaczego, Niobe, dlaczego?

Nie odrazu odpowiedziała. Patrzyła gdzieś w przestrzeń i tylko jej oczy cudowne, jakich nie posiada żadna kobieta na świecie — błyskały złowrogo i groźnie.

— Zresztą... — rzekła i urwała, by za chwilę znów podjąć — zresztą — powiem, tobie powiem... Im się zdaje — głupi ludzie! — zdaje im się, że po mnie przyjedzie królewicz w złotej karocy i zabierze mnie na szklaną górę, gdzie stoi złoty zamek o brylantowych oknach... Więc chcą cię wygnać, byś nie ubiegł królewicza.

— A ty, Niobe?

— Broniłam cię, jak życia własnego — odrzekła krótko, ale to mnie wystarczało za najliczniejsze słowa; przygarnąłem się do jej rączyn spracowanych

i bronzowych, pachnących wiatrem i trawami, słońcem i rosami stepów i całowałem je długo, jak się całuje ręce matki i kochanki jednocześnie.

— I cóż będzie ostatecznie? — spytałem znowu.

— Ty musisz odejść stąd, Sew.

— Odejść? — porwałem się z miejsca. — I ty mi to mówisz, Niobe? Pocożem cię szukał tyle czasu, pocożem przeszedł świat, abym cię miał teraz, kiedy znowum cię odnalazł, stracić? Niobe, dlaczego ranisz mnie tak boleśnie?

— A jednak musisz odejść, musisz! — powtórzyła z mocą w głosie.

— Za nic na świecie! Nikt nie może mnie odpędzić stąd, gdy ja nie zechcę. Niema sił, któreby mnie stąd wygnać miały.

— Jesteś niedobry, niedobry... Dlaczego mnie tak ranisz, dlaczego? Czyż ci zrobiłam jaką krzywdę?

— Największą, jaka istnieć może, bo odpędzasz mnie stąd, gdzie znalazłem piękno życia i prawdę życia. Nie wyrzeknę się nigdy tych skarbów.

— Sew, ach Sew, gdybyś ty wiedział, co się w mojem sercu dzieje, jak bardzo mnie ranisz!

— A czyż moje serce nie płacze?... Ukochałem cię jak duszę własną serdeczną i wierzyłem, że staniesz się dla mnie rozkoszą i ukochaniem i pieszczotą duszy niewysłowioną. Staniesz się moim bodźcem, mojem hasłem bojowem i współtwórczynią sławy, którą wskrzesić pragnę. A tymczasem...

— Ach, przestań, Sew, przestań!... Ty nie wiesz, ile mi to bólu sprawia, jak bardzo rani. Wysłuchaj mnie, zrozum... ja... ja nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, choćbym chciała, choć serce moje pragnie tego — nie mogę, nie mogę...

I łza srebrzysta, czysta, jak najcudniejszy diament w koronie władcy świata, stoczyła jej się na rozgrzany podnieceniem policzek, a potem druga, trzecia i dalsze.

— Niobe, ty płaczesz?

— Nie, ja nie płaczę, nie płaczę... to ze szczęścia... Ty tak cudnie mówisz, jak nikt chyba na świecie, ale... ja nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, ja nie mogę powiedzieć ci nic.

Łkanie wstrząsnęło jej gibką postacią łani.

— Niobe, błagam, nie płacz. Ja... odejdę... odejdę, ale nie płacz już, nie płacz...

Powstałem szybko, bo i ja czułem, że anioł żalu chwyta mnie za gardło i ściska, ściska, ściska...

Niobe stanęła gwałtownie przy mnie, oczy jej ogniem płonęły, postanowienie biło z nich.

— Gdzie twoja, tam i moja droga — ja z tobą.

— Ach!

— Ale stawiam warunek.

— Spełnię każdy, choćbyś żądała, bym wszystkie łby ściął hydrze.

— Stawiam warunek, byś — nie odważał się nigdy mnie pocałować, nigdy.

— Dlaczego?

— Nie pytaj, nie pytaj ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Tak musi być. Tak chce los i nic tego nie odmieni.

— Nigdy?

— Nie wiem, może... ale — nie pytaj, błagam. Pójdziemy razem i żyć będziemy jako brat z siostrą, nigdy inaczej, nigdy. Jeśli złamiesz warunek, odejdę na zawsze, by dokonać dni moich w niedoli, ale i ty nie zaznasz spokoju. Szukać mnie będziesz do kresu swojej wędrówki życiowej, lecz nie znajdziesz mnie nigdy. Decyduj się.

Boże, czyż miałem się wahać? Warunek był dziwaczny, nie rozumiałem go zupełnie, ale też i nie wierzyłem weń bardzo. Nie żyjemy przecie w starożytności, ani nawet w średniowieczu, kiedy czary miały prawo obywatelstwa i jakąś władzę. Dziś to żarty i przygody z bajek są tylko bajkowemi przygodami.

— Przyrzeknij, że dotrzymasz słowa?

— Przyrzekam.

— Wierzę ci.

Wyciągnęła do mnie swoje pachnące rączyny, które obsypałem pocałunkami. Co mnie obchodziło wszystko inne, gdy Niobe idzie ze mną i zawsze będzie ze mną. Gdy o każdej porze dnia i nocy, kiedy zechcę, kiedy zapragnę, mogę ją widzieć, dotykać jej cudownego ciała i pieścić i całować jej ręce. Ach, a tymczasem mnie jakże bardzo, jakże ogromnie kuszą jej usta, lecz te usta mają być dla mnie zabronione. Jeśli ich dotknę — stracę ją na zawsze. Nie, za nic, za nic.

XV.

Jakże marnem i nic wartem jest życie mężczyzny samotnego! Jakże cudownem zjawiskiem jest kobieta kochana, dla której i przez którą dokonywujemy wszelkich naszych wielkich i najdrobniejszych czynów!

Moja Niobe, owa kobieta kochana, śpi teraz tam w chatynce, którą zbudowałem dla niej na brzegu morza. Fale obmywają kamieniste wybrzeże i nucą jej do snu kołysanki, jakich nie słyszy żadna inna kobieta na świecie. Śpij, serdeczna moja, niechaj dobre duchy czuwają nad tobą i darzą cię słodkiemi snami.

O takiem życiu marzyłem od zarania mej młodości, skoro tylko myśleć się nauczyłem. Jakiem cudownym, niewiarygodnym szczęściem wydaje mi się takie życie, w którym mogę czuć, że ktoś myśli o mnie, ktoś mi dobrze życzy, odpowiada drgnieniami serca na drgnienia mego serca, jest duszą mej duszy i życiem mego życia.

Fale morskie kołyszą moją łódź, podrzucają ją wysoko, to znów spychają w dół, lecz mnie to już nie lęka. Jestem spokojny i szczęśliwy! Na dnie łodzi srebrzą się i grają barwami tęczy ryby, których nałapałem na obiad dla nas. Nikt inny nie umie tak wspaniale przyrządzać jedzenia, jak moja Niobe i nikt inny nie ma takiego głosu jak ona. Kiedy staje na najwyższym kamieniu tuż nad morzem i zaczyna śpiewać, morze cichnie, wiatr się uspakaja, i ryby wysuwają swe główki, zasłuchane ogromnie. Wszyscy słuchają głosu mojej Niobe.

Nie myślę o zagadce, którą mi dała do rozwiązania na progu naszego wspólnego życia, ale ilekroć nachodzi mnie pokusa złamania przyrzeczenia, ona jakby wyczuwa to i wtedy kieruje na mnie swoje przedziwne i głębokie, jak najgłębsza toń oczy, a wtedy pokusa moja pryska jak zły sen. Dziwne doprawdy są te jej oczy i dziwny warunek. Jakież cudownie rozkoszne muszą być te jej purpurowe usta, które, gdy się rozchylają na tle purpury od krwi czerwieńszej ukazują przeczystą biel perłowych sznurów, doznaję olśnienia i wtedy gotów jestem narazić się na męki piekielne za cenę ich dotknięcia.

Ale nie uczynię tego, nie uczynię tego, bo już dzisiaj bez Niobe żyćbym nie mógł, a gdybym nawet żył, cóż warte byłoby takie życie?

Ach, Niobe, Niobe!...

A oto i ona... Choć jestem daleko na morzu, widzę jej sylwetkę sylfidy, stojącą na ulubionym swoim kamieniu, omywanym przez fale morskiego przyboju i powiewającą ku mnie chustką. Wprawdzie nie słyszę tutaj jej słów, ale przysiągłbym, że woła ku mnie teraz: „Sew, wracaj już, bo wieczór niezadługo".

Oj, nie wieczór to spędza mnie z morza, nie noc i nie burza, ale miłość moja do ciebie, serdeczna moja, gna mnie ku brzegowi na skrzydłach jakby orkanu.

Skutkiem nieustannego na morzu przebywania, pracy ciężkiej i twardej, słońca, wiatrów i wody, ciało moje nabrało charakterystyczności i mocy, a skóra zbronzowiała mi zupełnie. Jasne włosy, wąsy i broda jakże charakterystycznie odbijają od ciemnej skóry!

Ciąg dalszy nastąpi.

17)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

I jak wówczas — energia, wesołość, pragnienie ruchu, życia, rozmowy, i zupełna pogoda dla niebezpieczeństw"...

Ajaks Piecano i jego głupie twierdzenie, że Ammałat nie jest Ammałatem, a kimś innym, bawiły Chana Mugańskiego, bynajmniej nie napędzając mu strachu.

Widząc taki nastrój u swojego gościa, którego mu ocean „wychlupnął", gospodarz zaczął okazywać już pewnie wahanie.

Poza już nie była tak wyzywająca i sam nawet nie zauważył, jak wyjął ręce z kieszeń i przestał kołysać się na obcasach.

Ammałat zauważył tę zmianę i przeszedł do ataku.

— Słuchaj pan, panie Ajaksie Pecano! Pan, jako wilk morski i prócz tego zapewne — człowiek najróżnorodniejszych zawodów, nie jest pozbawiony spostrzegawczości. Wszak prawda? Pan powinien posiadać pamięć wzrokową?

— Pan się nie mylił: moje oko i mój węch stoją na równym poziomie.

— Wspaniale! Czy zdarzyło się panu widzieć tego barona w takim kostjumie, w jakim pańscy marynarze wyciągnęli mnie z wody?

— Tak, kilkakrotnie kąpałem się z tym łotrem.

— Jakie ma ciało?

— Miękkie, ze skłonnościami do tycia i brzuszka.

— Co pan mówi — i brzuszka!? Wspaniale! Proszę więc nas porównać! — Odrzuciwszy koc, Ammałat jednym ruchem, jak sprężyną, stanął przed gospodarzem i w całej krasie zgrabnego mężczyzny z nienazbyt zarysowaną, ale jędrną muskulaturą i takiemiż jędrnemi mięśniami na brzuchu i na wypukłej piersi pod szeroką linją ramion.

— Czy podobny jestem do pańskiego barona? Z moją objętością w pasie, która nie jest większa od objętości głowy?

— Nie, wcale nie! — zgodził się Ajaks, zachwycony budową ciała Chana Mugańskiego.

— Proszę sobie przypomnieć jego wzrost! On jest wyższy ode mnie! A jego ręce z krótkiemi, koszlawemi palcami! Proszę spojrzeć na moje!

— Tak jest, palce ma pan długie, prawidłowe. Może doprawdy — on nie pan, a pan nie on!?

— No, nareszcie! — uśmiechnął się Ammałat, rzucając się na swoje łóżko i przykrywając się kocem.

— Ale przysięgam na prochy mojej babki Kaleony, która dożyła do 109 lat i pamiętała Byrona, że pan jest, jak duże krople wody, podobny do mojego barona! Nie rozumiem tylko jednego!

— Czego?

— Skąd pan zna powierzchowność tego galernika?

— Bo mam przyjemność znać samego galernika! Rzeczywiście na pierwszy rzut oka podobieństwo między nami jest rażące. Ale, gdy nie jesteśmy razem, a osobno... Gdy tylko pan rozpoczął ten żywiołowy atak na mnie, zacząłem już coś podejrzewać. Początkowo niewyraźnie, ale Szanghaj potwierdził moje podejrzenia. Galernik i mnie opowiadał o swem długiem przebywaniu w Szanghaju. Prawie mój sobowtór — i Szanghaj. Innego zestawienia nie może być.

— Ale kim jest pan w takim razie? — rzucił pytanie zaintrygowany Ajaks, przysiadając się na łóżku i dając przez to do zrozumienia, że „lody pękły."

— Kim jestem? Podczas dalszej podróży zdążymy, mam nadzieję, gruntownie zapoznać jeden drugiego z naszemi biografiami. A tymczasem oznajmiamy, że jednakowo walczę w szyku pieszym i konnym. Szablą mogę ściąć najbardziej niepodatną głowę, będącą na najbardziej żylastym karku. Jeśli pan stanie pod drewnianą ścianą, potrafię dziesięcioma nożami, rzuconemi z piętnastu kroków, oznaczyć pańską sylwetkę, na zadrasnąwszy pana. Czy wystarczy na pierwszą znajomość?

— Zuch z pana! Akurat w moim guście!

— Bardzo mi przyjemnie! Oto i Czarny Lucien z groszkiem i mięsem. Co za wspaniałość!...

Stary murzyn umocował na kolanach Ammałata wielką drewnianą tacę z obiadem. Ammałat usiadł i zaczął jeść.

— Pije pan koniak? — zainteresował się Pecano.

— Piję.

— Lucien, przynieś flaszkę z trzema gwiazdkami i szklankę dla mnie.

— Zobaczy pan, co za koniak! — obiecał Pecano. — Nalać odrobinę na dłoń i rozetrzeć — zapachu spirytusu ani za grosz! Perfumami pachnie!

Gospodarz i gość trącili się szklankami doprawdy świetnego koniaku. Świetnego, mocnego i wonnego. I znowu Ammałat przypomniał sobie i twierdzę Huelvy i Barradasa. Przypomniał sobie i Barbasana, który już niewątpliwie został powieszony razem ze swoją buławą marszałkowską.

Gdy po rybie, mięsie i leguminie, na dnie flaszki nawet kropli nie pozostało, a wielki nos Ajaksa poczerwieniał, Ajaks zażądał:

— Przynieś nam flaszkę „tygrysiego oka"! To żółty chartrense, — wytłumaczył Ammałatowi.

Popijając „tygrysie oko", w kłębach dymu tytoniowego, Pecano wtajemniczył Ammałata w historję swoich stosunków z Gafanim, wplatając nici z własnej biografii.

— Jestem Grekiem z Epiru. Na cześć swej sławnej ojczyzny nazwałem „Epirem" to stare naczynie, na którem pływamy. Zresztą to nie zawsze było starem naczyniem. Tak! dumny jestem, że pochodzę z Epiru. Jesteśmy osobliwymi Grekami! Wszyscy jesteśmy kolosalnego wzrostu. Ja, naprzykład, nie należę do małych, a jednak wśród nich uchodzę za małego. Mężczyźni chodzą u nas w spódnicach w rodzaju tunik baletowych, zwanych fustanellą. A kobiety chodzą w szerokich spodniach — szarawarach. Jak w południowej Albanii. Urodziłem się na brzegu morza Adriatyckiego w małem, ale malowniczem miasteczku Santi - Kvoranta. Mój pradziadek był wielkim epirotą i patrjotą! To on właśnie zarżnął tureckiego namiestnika w Janinie — Nassima Paszę. Ten Nassim Pasza był wampirem, wysysającym z Greków ostatnie soki. Pan rozumie, że z takiem dziedzictwem we krwi nie mogłem stać się urzędnikiem, sklepikarzem lub czemś jeszcze w tym rodzaju?! Niech będzie przeklęte życie bez ryzyka, bez burz, bez wojny wogóle i bez wojny z ustalonemi prawami w szczególności.

I oto zaczęły złe siły miotać mną i rzucać po szerokim świecie! Długa opowieść. Ale, ale, zabierzmy się do tego „tygrysiego oka". Z cygarem istna frajda! I wreszcie wyspecjalizowałem się w dwuch kierunkach: w handlu bronią i narkotykami. Niebezpiecznie, to prawda, ale zato świetny dochód. Przed czterema laty kupiłem w Szanghaju zapas kokainy, w celu przewiezienia jej do Europy i Południowej Ameryki. Pięć kilogramów, to już wielka porcja! Udało się sprzedać! To cały majątek. W Szanghaju spiknął mnie djabeł z tym baronem Pinellim, który handlował fałszywemi meksykańskiemi dolarami. Zacznijmy, powiada, razem pracować w kokainie. Zacznijmy. Niech będzie przeklęty dzień i godzina, w której dałem się złapać na wędkę tego katorżnika. Finał naszej współpracy był dla mnie opłakany. Pinelli wykradł u mnie połowę towaru, a drugą połowę zadenuncjował przed po-

licją międzynarodową. Tak i tak, powiada. Ajaks Pecano handluje kokainą. Mieszka tam, a kokainę przechowuje tam a tam. Zaaresztowali mnie. Proszek skonfiskowali. Ja zaś przesiedziałem 14 miesięcy w więzieniu, a Pinelli otrzymał nagrodę: dziesięć procentów od ogólnej sumy znalezionych u mnie narkotyków.

Nawet bandyckiej etyki nie ma, łajdak! Gdy zgnębiony moralnie i zrujnowany, zostałem wypuszczony na wolność, po Pinellim już dawno wszelki ślad zaginął. Ale, na szczęście, świat zamieszkują nie tylko tacy Judasze i zdrajcy podli, jak Pinelli! Znalazł się dobry człowiek. Chciał mnie podtrzymać i, rzecz jasna, siebie nie skrzywdzić. Połączyliśmy się. Moja głowa i doświadczenie — jego pieniądze. Rozpoczęło się nowe życie. Mój towarzysz kupił to stare naczynie. Za grosze kupił. Ochrzciliśmy nazwą „Epir". Dobrałem sobie załogę z dwunastu największych zabijaków i dalejże hulać po morzach. Broń i narkotyki, narkotyki i broń! Jak dotychczas, nie mogę się skarżyć. Pan Bóg chroni. Nie wsypaliśmy się ani razu i handel idzie niezgorzej! Tfu, na psa urok! — I Ajaks Pecano uderzył trzykrotnie zgiętym palcem w drewniany stołek.

Wypuściwszy nowe kłęby dymu, kontynuował:

— Ostatnia nasza podróż była do Mursji. Sprzedaliśmy cały nasz towar i dalej w drogę! Trzy dni temu wypłynęliśmy z portu w Nowej Kartaginie.

— Jak długo byliście w Nowej Kartaginie? — żywo zainteresował się Ammałat.

— Z dziesięć dni wałęsałem się po barach, music-hall'ach itp. świetnych zakładach.

— I ani razu nie spotkał pan swojego przyjaciela Pinelli? Dziwne! Upodobania macie jednakowe i mogliście przecież spotkać się chociażby w takiem cafe „National."

— Jakto, on bywał tam w cafe „National"?! — krzyknął Grek z wściekłością. — Ależ pech, ależ los! Niech potrzykroć będzie przeklęty! Ja, który nie zapomniałem o nim przez 4 lata! Ja, który nocami układałem plany zemsty, jeden od drugiego okrutniejszy! I ja go przegapiłem! Ależ oddałbym cały swój zarobek! Poszedłbym jako tragarz do portu za możność wpakowania kilka kul w tego łotra! Gotów jestem zaraz wrócić do Mursji i szukać go, szukać aż do skutku! Zaraz! Natychmiast! — I Pecano zerwał się na równe nogi, chcąc biec do szturmana na mostek kapitański.

Ale Chan z uśmiechem zatrzymał go ruchem ręki.

— To niema sensu! Pinelli vel Gafani wypłynął z Nowej Kartaginy na okręcie „Goia".

— „Goia" wypłynął do Marsylii na kilka dni przed nami! W moich oczach! Biada mi! Bóg odwrócił się ode mnie! Odwrócił się! Odwrócił się! — powtarzał Ajaks, uderzając się po głowie pięściami.

Ammałat nie mógł powstrzymać się od śmiechu, do takiego stopnia Ajaks był pocieszny w swej rozpaczy.

— Niech się pan uspokoi. Nietylko, że niema nic strasznego, ale przeciwnie, godzina zemsty jest bliska!

— Co pan mówi?! Mój dobry aniele! Aniele — stróżu mój, zesłany mi z nieba!

— Coprawda, niezupełnie z nieba, ale, powtarzam: Pinelli nie umknie ani przed panem, ani przede mną!

— Jakto? I pan ma z nim swoje porachunki?

— Mam! I przy tem bardziej poważne i głębsze, aniżeli u pana!

— Na miłość boską! To dziwny zbieg okoliczności! Gdzie go szukać?

— W Paryżu.

— A my właśnie płyniemy do Marsylii. Chciałbym ze dwa tygodnie zabawić się w Paryżu.

— I zabawi się pan!

— A jeśli on i tam się wymknie? W Paryżu łatwiej zniknąć. Jeśli i tam? Przysięgam na prochy mojej babki, że skończę z sobą!

— Proszę się nie denerwować! Nie należy również niepokoić naprożno prochów własnej babki. Niech mi pan wierzy, że do samobójstwa nie dojdzie. Przynajmniej z tego powodu. Nie poto mnie Pan Bóg dwukrotnie uratował od pewnej śmierci, iżby Gafani uszedł mojej zemsty.

— Wierzę panu! Pan ma jakiś proroczy głos. Wierzę, że nad Pinellim już zawisł wyrok i żadna siła mu nie pomoże. Wierzę jeszcze i z tego powodu, że nasze spotkanie — to jakiś cud!

Diana z chartem

Zdjęcie w atelier.

To już nie pustynia z namiotami, słońcem, żółtemi piaskami i ruinami starożytnej stolicy.

I aktorzy już nie ci sami! Tu są więcej zafrasowani i podrażnieni. Ale najbardziej podrażniony jest Benau.

Szklany sufit zamiast błękitnego nieba — gniecie go. Ciasno tu i jemu i jego żywiołowej energii.

Ordynarną, fałszywą imitacją wydają się tekturowe kolumny, tekturowe frontony świątyń i pałaców, imitacja balowych sal, po tych daleko za oceanem pozostałych dekoracjach największego artysty, któremu na imię — Bóg...

Benau krzyczy na artystów, na elektrotechnika, operującego światłem i oślepiającemi, złośliwie buczącemi „jupiterami". Krzyczy na Brodzkiego, na robotników, przestawiających meble i dekoracje, na fryzjera, na charakteryzatora, na wszystkich — nawet na siebie samego...

A już najwięcej na samym początku dostało się baronowi Pinelli vel Gafani. Nawet mały człowieczek, biegnący kłusem z dwiema „marmurowemi" kolumnami pod pachami, jak z dwoma bochenkami chleba, zatrzymał się.

— Gafani polecił panu przybyć do atelier o godzinie ósmej, a pan raczył zjawić się dopiero o dziewiątej!

— Panie Benau...

— Milczeć, ja mówię, a nie pan! Żadnych usprawiedliwień. Wiem, że z pana mizerny dyktant, że pan zaczął „kręcić" ze względów nic wspólnego ze sztuką filmową nie mających. Wiem, że pan ma pieniądze i pluje pan na zarobek. Ale mnie, co mnie to wszystko obchodzi!? Artysta, jak długo jest związany z kontraktem, to — chronometr w sensie punktualności i akuratności. Przeczuwałem, że w Paryżu będę miał z panem kłopot. Mimo to byliśmy zmuszeni wziąć pana. Nie mieliśmy zastępcy dla Brossego, który tak nie w porę umarł. Byliśmy zmuszeni! Na bezrybiu i rak rybą!

— Proszę, by pan nie robił obrażających porównań!

— Jaki ambitny! Patrzcie! Ja pana nie tak jeszcze ubiorę! Być na miejscu w porę nie potrafi, a w pawie pióra się przystraja! Kto kłaniał się na wszystkie strony, jak podwórzowy kuglarz, za oklaski? Na okręcie, pamięta pan? Gdy głupia publiczność brała wyczyny Chana Mugańskiego za pańskie! Już dość tego! Żeby mi się to więcej nie powtórzyło! Dwie czy trzy sceny pozostały.

Blady, z zaciśniętemi wargami wysłuchał Gafani tej besztaniny.

A Benau szukał na czyją głowę zwalić swój gniew. Apetyt przychodzi podczas jedzenia.

— Czy ciemnica Donkunda gotowa?

— Gotowa.

— A sam Donkunda?

— Jest, musze! — odezwał się Senegalczyk, obnażony do pasa, a poniżej pasa — w jakichś przerażających łachmanach.

— Słuchaj! Najpierw rwiesz łańcuchy, któremi jesteś skuty, a następnie wyrywasz z gniazd że-

łaźnie pręty z kraty w oknie. Podczas tego twoje mięśnie grają, rozumiesz?

— Rozumiała.

— Ano, „graj“ mięśniami!

Donkunda zwykłym sposobem atletów skrzyżował ręce za plecami, naprężył się cały i zaczął poruszać pod skórą mięśniami całego ciała.

Ale doświadczone oko Benau pochwyciło różnicę pomiędzy tem, co Senegalczyk mógł dać ze siebie przedtem i co dawał teraz.

— A łotrze! A kanaljo! Co ja tobie mówiłem! Że trzeba przygotować się do zdjęć, trzeba ćwiczyć mięśnie ciężarami, gumą, gimnastyką. Dech musi zaprzeć u widza! On musi uwierzyć, że przed potworem z takiemi bicepsami żadne łańcuchy, żadne kraty nie wytrzymają! A tyś ćwiczył?

— Ćwiczyła, muszę!... Ćwiczyła...

— Łżesz, szubrawcze! Brudne bydlę! Gromenia proszę do mnie!

Komik, drobnemi, bojaźliwemi kroczkami emerytowanego baletmistrza, zbliżył się do Benau z miną uciśnionej niewinności, nie patrząc na niego i poruszając wargami.

— Dalejże, stary mandolinisto i stręczycielu! Nie wstyd panu?

— Panie Benau, ja nic nie mam wspólnego z tem wszystkim. Donkunda — to nie mały chłopak. Przysięgam na świętego Franciszka z Asyżu, że nic...

— Donkunda jest gorszy od małego chłopczyka! I pan spekuluje na tem!... Co za świństwo! Żeby mi tego więcej nie było! Scena w ciemnicy jest na trzy dni. Ty, Donkunda, otrzymasz domowy areszt w mieszkaniu pana O'Donnela. Najsurowsza izolacja! Nigdzie ani na krok! Ćwicz mięśnie, kanaljo! Wszystkie przyrządy będą ci dostarczone. Słyszałeś? A teraz — marsz ubierać się! A pan, Gromenja...

Benau więcej nic nie dodał, ale tak wymownie spojrzał i pogroził, że komik cały się zmniejszył i zjeżył. Ta metamorfoza rozbroiła i rozśmieszyła Benau.

— U nas tu nie pensja, a ja nie jestem moralistą. Ale obowiązek przedewszystkiem! Powiedz pan swojej „serenissimie“, żeby kilka dni poczekała cierpliwie. Nic się nie stanie tej serenissimie!

— Pan Benau i o tem wie?! — z przerażeniem rzucił Gromenja.

— Ja wszystko wiem! O każdym waszym kroku! Proszę to mieć na uwadze! I — w tył zwrot, marsz!

Zaś pod adresem obu gwiazd dodał:

— Jestem zadowolony! Oto, co znaczy dobra recepta! Wywiady z paniami narobiły hałasu, i to jeszcze jakiego hałasu! Proszę się przyznać: korespondencja zwiększyła się? Jacy tylko głupcy nie piszą do was po tem, jak jedną porwał indyjski wódz, a drugą zasiała swoją drogę trupami samobójców. Ale to jeszcze grubo nie wszystko. Reklama — to jedzenie, które trzeba stale podgrzewać. Proszę bywać na wyścigach konnych, błyszczeć pięknością i toaletami... Mam nową myśl! Pan O'Donnel aprobował ją i wyasygnował dla każdej z pań po 5.000 franków. Na wystawie w Wielkim Pałacu Przemysłu panie kupią po jednym obrazie. Na tych obrazach zostanie wywieszona karteczka z napisem: „Własność pani tej a tej.“ Zaczną się rozmowy. Gwiazdy nie tylko zmieniają mężów i kochanków, nie tylko gubią brylanty, ale również popierają artystów-malarzy, mecenasują. To jest bardzo kulturalne, piękne i w dobrym tonie! Dalej! Niech ci dwaj wielbiciele, jak się tam nazywają, Gonzales i Viljegas, zamówią wasze portrety.

Zauważywszy ruch protestu u Mar-Molli, reżyser wyjaśnił:

— To jest również w dobrym tonie i nie jest uważane za cenny prezent! To jest to samo, co kosz kwiatów lub bomboniera. Tak, tak! Koniecznie portrety! Niech je wykona Hiszpan Bertran-Massez. On malował Alfonsa XII, Rudolfa Valentino i Polę Negri. Jego atelier znajduje się przy Rue de la Pompe — to jest miejsce spotkań całej paryskiej śmietanki, rodowej, finansowej, z demimonde'u i pederastycznej! Prezydent republiki murzyńskiej Liberja, ledwo przyjechał do Paryża, już polecał do atelier Bertran-Masseza, nawet przed złożeniem wieńca na mogile Nieznanego Żołnierza! To ja rozumiem! To jest popularność!

Więc proszę posłuchać: panią, Mar-Molli, on namaluje na stopniach jakiegoś pałacu, w diademie i futrze. Jednem słowem, jak królowę! Dla pani, Manija, trzeba wymyślić coś lepszego. Jest! Znalazłem! Pani ten król świń ofiarował przepięknego, białego charta?

— Przepięknego! — potwierdziła Manija.

— Otóż, Bertran-Massez uwieczni panią razem z nim... I będzie „Diana z chartem.“

— A ubiór? — zapytała Manija, figlarnie spoglądając swojemi szaro-zielonemi oczyma.

Ciąg dalszy nastąpi.



P12/33g

Persil i Henko

oto dwa środki, bez których niema prania!

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 1 listopada 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja Nabożeństwa z Łodzi 10.50 Koncert (płyty) 12.03 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. 14.30 Nastrojowa muzyka 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Muzyka 16.45 Kwadrans poezji zaduszkowej 17.00 Koncert symfoniczny 19.00 „Wesele" — Wyspiańskiego ((Ak. II) 19.45 „Apel poległych" — transmisja z Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie 21.00 Muzyka polska 21.30 „Mój przyjaciel z Podhala" — szkic literacki 21.43 Włoska muzyka fortepianowa 22.15 Koncert wieczorny.

Poniedziałek, dnia 2 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert Kwintetu Stefana Rachonia 12.40 „Matka Orkana" — pogadanka 15.15 Dawna muzyka wokalna (płyty) 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.15 „Rozmowa ze śmiercią" — oratorium na Dzień Zaduszny 17.15 „Konarski i Komisja Edukacji Narodowej" — odczyt 17.30 Fragmenty z dzieł Ryszarda Wagnera (płyty) 18.50 „Teatr ludowy przy pracy" — pogadanka 19.00 „Wesele" — Stanisława Wyspiańskiego (Akt III) 20.000 Audycja żołnierska 20.30 Pieśni odśpiewa Maria Trąmczyńska 21.05 Muzyka religijna 21.55 Recital fortepianowy Zofii Rabcewiczowej 22.25 Utwory organowe 23.00 Muzyka (płyty).

Wtorek, dnia 3 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Opery romantyczne (płyty) 15.15 Koncert Małej Orkiestry P. R. 16.30 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 17.00 „Powieść mówiona: „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.15 Koncert solistów 17.50 „Zainteresowania sportowe Symforjana Drucika" — monolog 19.00 „Dyskutujmy: „Czy praca kobiet zwiększa bezrobocie" 19.20 „Pojedziemy na łów" — audycja muzyczna 20.00 „Polska na Międzynarodowym Kongresie śpiewu kościelnego we Frankfurcie" — reportaż 20.10 II Koncert ORMUZ.-u (Transmisja z Warsz. Konserw. Muz. 21.40 „Odgłosy Podhala" — audycja muzyczna 22.30 „Hiperbola słowa w literaturze dzisiejszej" — szkic literacki 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 4 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert południowy Małej Orkiestry P. R. 15.15 Koncert rozrywkowy (płyty) 16.10 Zagadki muzyczne — audycja dla dzieci starszych 16.30 Koncert Orkiestry Straży Więziennej 17.00 O podoficerach zawodowych" — odczyt 17.15 Th. Lallet Trio na obój, fagot i fortepian 17.50 Dom Mickiewiczów w Paryżu — pogadanka 18.50 O wiejskim programie radiowym 19.00 Kwadrans Or-Ota 19.15 Muzyka (płyty) 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 Siostry Burskie śpiewają piosenki 22.00 Koncert w wyk. Wielkiej Orkiestry P. R 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 5 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Poranek" z Filh. Warsz. dla młodzieży szkół średnich 12.03 Trio Salonowe Polskiego Radia 12.40 Obliczmy paszę przed zimą — pogadanka 15.15 Koncert 16.20 Przyroda w listopadzie — pogadanka 16.35 Kompozycje Claude Debussy'ego (płyty) 17.00 Młodzież w Niemczech" — reportaż Janiny Miedzieńskiej 17.15 Tańce niemieckie w wyk. Orkiestry Adama Hermana 17.50 Książka i wiedza 19.00 Wiązanka pieśni ludowych Śląska Cieszyńskiego 19:30 W jesienny wieczór — lekka audycja muzyczna 20:30 Z wędrówek po prowincji „Buczacz — klejnot Podola" 21.00 4-ta audycja z cyklu „Sylwetki polskich kompozytorów 22.10 Płyty dla znawców 22.25 Do tańca gra Mała Orkiestra P. R

Piątek, dnia 6 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Armand Grabbe i Mac Cormack śpiewają piosenki 15.15 Koncert w wyk. Małej Orkiestry Polskiego Radia 16.30 Kwartet Salonowy Rozgłośni Krakowskiej 17.00 W świątyniach Pekinu — felieton 17.15 Koncert solistów 19.00 Zazdrość Swanna — fragment powieści 19.20 Z pieśnią po kraju 20.00 O instrumentach orkiestry symfonicznej — pogad. 20.15 Opera Karola Kurpińskiego „Leśnicy w Kozienickiej Puszczy" 21.30 Muzyka lekka (płyty) 22.00 Koncert kameralny 22.30 Skupione życie puzonisty Anzelma — skecz 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 7 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkói 12.03 Mała Orkiestra Polskiego Radia 14.30 Opery dla dzieci „Czerwony Kapturek" 15.15 Muzyka lekka 16.15 Otwarcie nowej Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia 17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.30 Koncert z Wilna 20.00 Polskie pieśni ludowe z Wileńszczyzny 21.00 Koncert muzyki fińskiej 21.35 Lekkie piosenki — płyty 22.00 Kukułka wileńska 22.30 Muzyka taneczna.

Na obczyźnie!

Rodaku! łzami szklą się twe oczy!
Jakiż to robak serce twe toczy? —
Bracie! Ta lśniąca lampeczka wina,
Baterię Centra mi przypomina.

HUMOR

Dżentelmen

— Czy dym tytoniu nie szkodzi pani? — pyta w pociągu wytworny młodzieniec.

— Owszem, szkodzi — odpowiada starsza dama.

— To niech pani wyjdzie z przedziału, bo mam zamiar wypalić papierosa.

Złośliwość

— Jesteśmy z tego dumni, że odziedziczyliśmy inteligencje naszego ojca.

— Musiało was być wiele dzieci, jeżeli każde z was tak mało odziedziczyło.

Papuga

Pan Piekutowski z oburzeniem skonstatował, że kupiona niedawno papuga, powtarza bez zaczerwienienia się okropne, niecenzuralne wyrazy.

Wzywa więc do siebie 8-letniego syna i mówi z surową powagą:

— Mój Kaziu. Papuga wygaduje potworne i ohydne słowa. Ty jeden tylko przebywasz przy klatce, przyznaj się, ty nauczyłeś papugę takich okropnych wyrażeń, czy nie?

Na to Kazio:

— To nie moja wina, tatusiu. Papuga pierwsza powiedziała mi: „Ty łobuzie".

KAWALER na stanowisku, materialnie niezależny, o średnim wykształceniu i pogodnem usposobieniu — pragnie poznać panią do lat 24 o podobnych walorach. Zgłoszenia z fotografią (zwrot dyskrecja) do Redakcji M. P. pod „Ciche szczęście".

INTELIGENTNA Pomorzanka poszukuje posady do dziecka z szyciem i robótkami ręcznemi, jako początkująca od zaraz lub później.

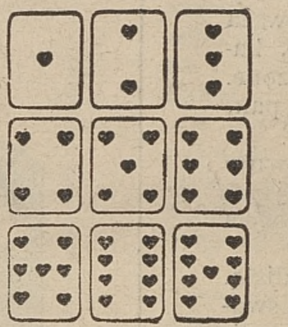
WIELKI KONKURS!!!

ZŁOTYCH 20.000,00 NAGRODY

możecie otrzymać, biorąc udział w konkursie, zorganizowanym przez firm

„Polska Produkcja Włókiennicza"

1. Nagroda zł. 600,00 w gotówce
2. „ „ 150,00 w „
3. „ „ 100,00 w „
4. Nagroda zł. 70,00 w gotówce
5. „ „ 50,00 w „
6. „ „ 30,00 w „



oraz za 19.000,00 zł. nagrody towarowe w postaci: radioodbiornika, maszyny do szycia, kuponów materjałów oryginalnie bielskich na ubrania męskie i damskie, wyprawy ślubne i dużo wartościowych premji. — Zamieńcie miejsca obok podanych kart w ten sposób, że zliczając serca 3-ch kart jednego rzędu, otrzymacie ogólną ilość 15 serc dla każdego rzędu pionowego i poziomego. — Każdy czytelnik, który w ciągu 8 dni nadeśle nam prawidłowe rozwiązanie (naklejone na papierze) wraz z zamówieniem na jeden lub więcej z niżej wymienionych kompletów otrzyma w paczce jedną z nagród.

OBYWATELE!

Zima się zbliża, a przecież każdy z Was potrzebuje ciepłą odzież. Ludność znękana kryzysem gospodarczym, szuka wyjścia złagodzenia biedy. Nikłe zarobki nie starczą konsumentowi na zaopatrzenie się w najniezbędniejsze towary na zimę. Firma nasza, nie zważając na wzrost cen towarów wyrobów włókienniczych i posiadająca wielkie zapasy materjałów, niezbędnych dla każdego domu, postanowiła przyjść z pomocą konsumentowi miast i wsi, obniżając ceny wszystkich kompletów na okres krótki do poziomu dotychczas nienotowanego. Ogłosiliśmy również wielki konkurs z nagrodami pieniężnymi dla naszych Sz. Klientów.

Uważajcie na nasze niskie ceny!!!

1. TYLKO ZA ZŁ 7 gr 50

wysyłamy: 3 metry materjału na eleganckie ubranie męskie pełnej podw. szerokości (najnowsze wzory bielskich kamgarnów) lub 1 ubranie męskie gotowe gładkie lub deseniowe o dobrym wykończeniu od Nr. 46—52 (według żądania), 1 poullower-swetr męski w dobrym gatunku o wzorach żakardowych, bardzo modny w obecnym sezonie, 1 koszulę męską w dobrym gatunku z ładnym wykończeniem satynowym lub 1 p. kalesonów białych w dobrym gatunku, 1 p. skarpetek b. mocnych, 1 szal męski wełniany w modne desenie, 1 krawat jedwabny elegancki i 3 chusteczki męskie do nosa z kolorowym szlakiem. Ten sam komplet w gatunku lepszym zł 11 gr. 90, — zaś w gatunku najlepszym zł 15 gr 90.

2. TYLKO ZA ZŁ 8 gr —

wysyłamy: 4 metry materjału o najnowszym wyrobie na suknię elegancką lub 1 suknię damską gotową modnie uszytą, 1 chustkę zimową w kraty jasne lub ciemne, 1 swetr-poullower damski, bardzo efektowny, elegancki, 1 p. pantofli damskich (podać rozmiar obuwia), 1 koszulę damską, luksusową, madapolamową z ładnym wstawieniem jedwabnem lub 1 koszulę p. wełnianą, 1 p reform z dobrego elastycznego trykotu, 1 apaszkę wełnianą lub jedwabną w śliczne wzory w najlepszym gatunku, 1 p. pończoch jedwabnych lub 1 p. rękawiczek wełnianych. 1 pasek damski i 3 chusteczki damskie. Ten sam komplet w gatunku lepszym zł 11 gr 95, zaś w gatunku najlepszym zł 15 gr 95. —

3. TYLKO ZA ZŁ 22 gr 95

wysyłamy: 1 sztukę płótna białego 17 mtr. w dobrym gatunku na 6 koszul męskich lub 9 koszul damskich oraz na elegancką pościel, 2 kołdry pikowe na łóżka w eleganckie kwiaty żakardowe, 2 dywany na ścianę tkane w najnowsze wzory, 6 mtr. flaneli bieliźnianej miękkiej i puszystej na wszelką bieliznę zimową, pyjamy i szlafroki lub 6 mtr. firanki przetkanej jedwabiem i 6 mtr. płótna ręcznikowego trwałego lub 6 ręczników serwetowych z frendzlami.. Ten sam komplet w gatunku lepszym zł 25 gr. 95, — zaś w gatunku najlepszym zł 29 gr 95.

Powyższe komplety wysyłamy za pobraniem pocztowym. Towar wysyła się bez zadatku. Płaci się przy odbiorze towaru. BEZ RYZYKA: Jeżeli towar nie podoba się i warunki nie odpowiadają, przyjmujemy towar spowrotem, a pieniądze natychmiast zwracamy.
Adresować: Firma

„POLSKA PRODUKCJA WŁÓKIENNICZA" ŁÓDŹ, ul. Piotrkowska 28. oddz. 26

Nagrody pieniężne będą rozesłane dnia 30 listopada 1936 r.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.